Dlaczego milczą trybuny „Motoru”? str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 23 (843) 17 listopada 1985 Cena 15 zł

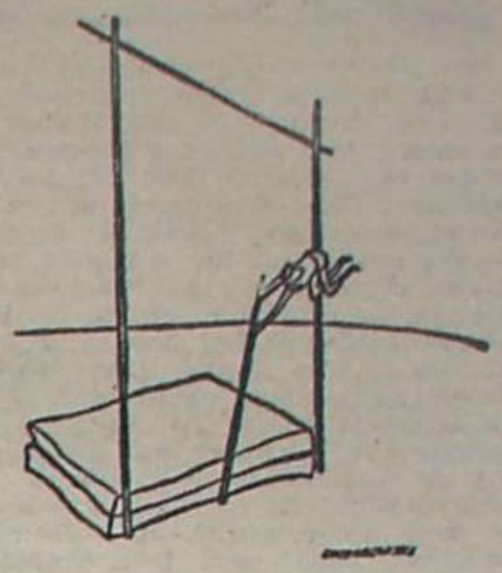

Rys. Antoni Chodorowski

Dymisja marszałka Śmigłego str. 5,8-9

Marszałek Rydz-Śmigły i gen. Sławoj-Składkowski

Fot. CAF

„Mówią, że pan jest podobny do Chopina ...”

Marc Laforet *w Lublinie* str. 3

Małe młyny - duża sprawa str. 2-3

Smak na chłopa str. 10

Rys. Zbigniew Cieniuch

„Doktor podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz.

– Herr Hitler! Proszę wejść. Ma pan syna.”

str. 7

Rys. Józef Tarlowski

Repr. Adam Trochimiuk

Azyl P. i sodowa woda str. 11

z notatnika

1 XI. Kolejne Święto Zmarłych. Na alejkach cmentarnych ciasno: choć raz w roku trzeba odwiedzić Drogich Nieobecnych, położyć kwiatek, zapalić świeczkę. Ceny chryzantem w tym roku astronomiczne: skromna doniczka — 600 złotych, ale ludzie kupują, trudno się docisnąć do samochodu. Na targu gałązka świerkowa od stu do dwustu złotych; ubiegłej zimy za 200—300 zł można było kupić całą choinkę. Żadnej państwowej konkurencji. Wiem, że Dyrekcja Lasów Państwowych ma poważniejsze sprawy na głowie, ale czy do niej reforma nie dotarła? Nie chce zarobić? Za to zniczy i świeczek w tym roku zatrzęsienie. Jesteśmy światową potęgą pod tym względem. Co jak co, ale k n o c i ć to my umiemy.

„Popatrz — powiedział mi X — na cmentarzu leży coraz więcej tych, których chciałoby się widzieć wśród żywych, a coraz mniej tych..." Nie dokończył, tylko uśmiechnął się szatańsko, a mnie się zaraz przypomniał Leszek Siemion, który też tak potrafił dowcipkować. Na początku lutego przyszłego roku mija pięć lat od Jego śmierci. Przypominam o tym szanownym kolegom po piórze, zwłaszcza, że grób Leszka do zbyt ukwieconych nie należy. Dużo miał przyjaciół za życia, ale wielu spośród nich zdążyło odejść przed Nim.

Tak sobie chodzę po cmentarzu, oglądam opuszczone groby, nawet dość świeże, i myślę, że może mają rację ci, którzy po śmierci chcą zniknąć bez śladu. Wielu moich rodaków jest zapatrzonych na Zachód, ale nie słyszałem, aby ten sposób chowania zmarłych znajdował u nas naśladowców.

Jak to wygląda w praktyce? Pisze o tym na łamach ciekawie redagowanego tygodnika poznańskiego „Wprost" (nr 44) Tadeusz Robak. Pozwolę sobie zacytować fragment owego tekstu, choć T. Robak powołuje się na tygodnik „Der Spiegel" (przejrzałem kilka ostatnich egzemplarzy, nie znalazłem artykułu, warto więc podawać numery).

„W Republice Federalnej Niemiec bardzo rozpowszechnione jest chowanie zmarłych anonimowo, bez ceremonii pogrzebowej i bez widocznego śladu w postaci grobowca czy mogiły z odpowiednim napisem. [...] Postępuje się w ten sposób wobec tych, którzy taką wolę wyrażą za życia. To znaczy, jest wielu ludzi, którzy chcą zniknąć bez śladu. Bez odwiecznie towarzyszącej dramatowi śmierci ceremonii, bez tego wszystkiego, co przynajmniej symbolicznie pozwalało przedłużyć trwanie przerwanego życia, jakoś tam uzasadnić wypowiadane nad trumną słowa, że »zawsze pozostaniesz między nami«... Jeśli sądzicie, że mowa tu o paru dziwakach, to jesteście w błędzie. [...] Corocznie odbywa się tym trybem 30 tysięcy pogrzebów w RFN [...], w Kilonii np. w roku 1982 już 44 proc. śmierci takim się kończyło finałem. [...] Jeśli kogoś interesują szczegóły techniczne, to proszę: urny z prochami zakopują w partiach po 25 pracownicy cmentarza, a »nasz rekord«, jak powiedzieli reporterowi w Hamburgu, to 118 za jednym zamachem. Zasadą jest, że tej czynności nie może towarzyszyć nikt z rodziny, czy znajomych, żaden duchowny czy orkiestra. Więcej — ukrycie urny pod trawnikiem dokonywane jest tak, że nawet pracownicy przy tym zajęci nie wiedzą, gdzie jest miejsce poszczególnych osób. Tylko w tajnej kartotece cmentarza pozostaje właściwa adnotacja, to wszystko. Parkowa łąka wchłania ludzkie resztki..."

Znamienne, że Kościół katolicki — ustami konferencji episkopatu RFN — też się wypowiedział, że takiemu procederowi nic nie można zarzucić, gdyż również w regule niektórych zakonów przewiduje się anonimowe chowanie zmarłych, traktowane jako część skromnego życia (i śmierci).

Osobiście wątpię, czy takie pogrzeby przyjmą się między Bugiem a Odrą, choć ja nie miałbym nic przeciwko temu, aby w ten sposób odejść pod ziemię. Nie przewracałbym się przynajmniej w trumnie, gdyby taki na przykład, mniejsza o nazwisko (bo nie wiadomo jeszcze, kto kogo będzie ewentualnie żegnał) plótł nad moim grobem trzy po trzy...

I jeszcze jedno: nasze nowe dzielnice przypominają często kamienne pustynie. Cmentarze mają podobny charakter. Obrzydliwe lastriko, drogi granit, coraz mniej piaskowca; poginęły piękne wiejskie miejsca wiecznego spoczynku. Za ileś lat przejdzie walec i wszystko wyrówna. Nasi potomni nie znajdą pomników godnych konserwacji. Sztampa, marności nad marnościami, ale w jakiej cenie! Zastaw się a postaw (w danym wypadku nagrobek), bo co powiedzą znajomi? Umarłym i tak jest wszystko jedno...

Piszę to, a jednak co się we mnie burzy, gdy czytam w „Kierunkach" (nr 44): „Profesor Józef Chałasiński. Wraz z żoną spoczywa w skromnym, porośniętym trawą grobie, pod brzozowym krzyżem. Podobno nie życzył sobie pomników. Ale myślę, że nie chciałby również, aby zwykła, czarna tabliczka z Jego nazwiskiem, przytwierdzona do krzyża zaraz po pogrzebie przed 6 laty, zatarła się i zniszczyła. I nikt, kto nie wie, nie dowie się, że tu właśnie spoczywa znakomity uczony, którego dzieła wydają liczne wydawnictwa, a Jego imieniem nazywane są nagrody dla młodych naukowców. Laureaci tych nagród, gdyby chcieli złożyć kwiaty na grobie fundatora, na pewno nie znaleźliby skromnej i anonimowej mogiły w kwaterze 39 b."

Powtarzam: dzieła wydają liczne wydawnictwa... Ktoś bierze chyba za to tantiemy, czyli żywą gotówkę. I co? I nic. Chociaż... dlaczego mnie to dziwi? Gotówka jest przecież ż y w a. Więc dla ż y w y c h...

2 XI. Przed Świętem Zmarłych mogliśmy obejrzeć w telewizji fragmenty głośnego filmu Claude Lanzmanna „Shoah" (tłumacząc z hebrajskiego: zagłada). Fragmenty dotyczyły Polski. Lanzmann przeprowadził w naszym kraju wiele rozmów i potem z tego materiału zmontował całość. Dziwna to jednak całość, bardzo jednostronna, mająca podbudować tezę reżysera, że Polacy są współwinni zagładzie Żydów: właśnie w Generalnej Guberni Niemcy zlokalizowali obozy śmierci, bo tu był odpowiedni ku temu klimat. A jak ta współczesna Polska wygląda w oczach Lanzmanna? Walące się rudery, konny transport, zidiociałe społeczeństwo... Wiem, że ciemnoty u nas jeszcze sporo (chociażby ta epidemia cudów!), ale jakiś awans kulturowy też jest i nie tylko pożydowskie lepianki (no, prawie lepianki) otaczają ulice naszych miast i miasteczek.

Lanzmann zobaczył w naszym kraju to, co chciał zobaczyć. Śpieszono mu z pomocą, spotykał się z sympatią. Odpłacił się sowicie: dał piękny prezent tym, którzy chcieliby nas pogłębić w oczach świata i samemu wybielić.

(Z uwagi na brak miejsca wykreślam to, co dalej napisałem 2 listopada, a na to miejsce wstawiam 8 listopada bardzo interesujące fakty zaczerpnięte z 45 n-ru „Przeglądu Tygodniowego").

Włodzimierz Krzyżanowski z „Przeglądu" rozmawiał z ludźmi, którzy w filmie Lanzmanna wystąpili. Ich wypowiedzi rzucają jaskrawe światło na manipulacyjne zabiegi reżysera. Mówi Zdzisława Białkowska: „Mieszkam w pożydowskim domu i Lanzmann pytał mnie o ten dom i o Żydów. Opowiadałam, jacy byli Żydzi, że tacy sami jak Polacy: dobrzy i źli, tylko że zawsze bogatsi. Do kamery mówił też mój mąż, Roman, ale on już nie żyje. Ten Francuz każde pytanie powtarzał kilkakrotnie i trzeba mu było w kółko to samo odpowiadać. W końcu stawało się to śmieszne i człowiek zaczynał się śmiać. Pan wie, jak wygląda filmowanie? Palą się światła, rażą w oczy, podtykają coś pod usta i trzeba patrzeć w szybkę kamery. Żeby nawet człowieka miała cholera za to trafić, to nie wytrzyma i zacznie się śmiać. No śmiałam się, śmiałam, jak o tym samym mówiłam czwarty czy piąty raz, ale przecież nie śmiałam się z tego, że Żydów mordowali, bo i nas też rozstrzeliwali...".

I teraz widzimy jak na dłoni, co można zrobić przy montażu filmu. Zainteresowanych odsyłam do przejrzenia wspomnianego numeru „Przeglądu Tygodniowego", w którym poza tym można znaleźć niezwykle interesujący tekst na temat Haliny Kossobudzkiej.

Tymczasem w „Tygodniku Powszechnym" (nr 45) Józefa Hennelowa pisze po obejrzeniu w TV „Shoah": „Któż by to oceniał, wartościował, przecież to tylko jedna szósta filmu, o którym z taką swadą rozprawia po projekcji zgorszony areopag komentatorów..." Sądzę, że jednak można nawet tę jedną szóstą filmu ocenić. Zrobił to zresztą w t y m s a m y m n-rze „Tygodnika Powszechnego" nie kto inny jak sam szef pisma, Jerzy Turowicz, który zresztą cały film obejrzał w Oxfordzie, ale swoje rozważania (ciekawe, choć nie we wszystkim zgadzam się z autorem) snuje właśnie na podstawie tej j e d n e j s z ó s t e j.

7 XI. Przed kilkoma dniami rząd PRL podał się do dymisji, podejmując odpowiednią uchwałę. 5 listopada odbyło się plenarne posiedzenie KC PZPR (znakomite wystąpienie Wojciecha Jaruzelskiego), 6 listopada zebrał się Sejm. Bezpośrednia transmisja w telewizji była o tyle niefortunna, że w tym samym czasie toczył się pokazywany w II programie mecz Legii z Videotonem. Podzieliłem uwagę: oglądałem mecz i słuchałem sprawozdania radiowego. Sprawozdanie to później uzupełniłem obrazem w czasie dziennika TV. Kamera ślizgała się po nowych twarzach (wiele tych nowych twarzy!), dostrzegłem i posła Celińskiego i posła Szpringera, zadumany siedział poseł Barecki, który już całkiem oderwał się od (niemal) rodzinnego Szczecina i tym razem kandydował z Łodzi. Zawsze bliżej do wyborców, fakt...

Co postanowiono na pierwszym posiedzeniu, wiemy, zmiany są duże, jedni nieco odpoczną, inni przeciwnie, zresztą zobaczymy. Wydaje mi się jednak, że znacznie zwiększy się zarówno rola Sejmu jak i Rady Państwa. I tak być powinno, gdy wraz z postępującą normalizacją zmienia się i sam styl rządzenia...

M. A. Jaworski

CHOCHLIKI...

Nasze Wydawnictwo przedstawiło nam listę zaległych urlopów pracowników „Kameny". Włos się jeży! Musimy rzeczywiście być nieco zmęczeni, skoro w poprzednim numerze autorka pisze o grobie Piotra S k a r g i w Lublinie (zamiast o grobie Piotra S c i ę g i e n n e g o) i przechodzi to przez wszystkie sita redakcyjne. Z drugiej strony korekta w tekście M. Dereckiego myli m i l i a r d y dolarów z m i l i o n a m i (koszt wyprawy na Marsa wyniósłby co najmniej 80 miliardów dolarów, a nie milionów!). Oczywiście można się usprawiedliwiać, że tamten ksiądz Piotr i ten Piotr, że nikt z nas nie zobaczy nawet t y s i ą c a dolarów, więc łatwo pomieszać miliony z miliardami, nie zmienia to jednak faktu, iż błędy są szpetne. Errare humanum est, niemniej wszystkich Czytelników pięknie przepraszamy. (Red.)

Małe młyny - duża sprawa

Marta Denys

KTO był nadawcą impulsu, mającego ożywić małe młyny gospodarcze, wskazać dzisiaj trudno. Może sprawiły to postulaty samych młynarzy, a może decyzje odgórne? Jak chociażby Rozporządzenie Rady Ministrów z 8 stycznia 1982 roku, umożliwiające zbywanie na rzecz jednostek nie uspołecznionych oraz osób fizycznych — jak głosi tekst — nieczynnych lub nie wykorzystanych w pełni, a mogących służyć celom rolnictwa i gospodarki żywnościowej m. in. młynów gospodarczych, stanowiących własność spółdzielni. A może nadawcą tego impulsu był czas i jego pilna gospodarcza potrzeba? Pamiętamy przecież pewną zimę, kiedy to wysyłano na przemiał zboże do naszych południowych i zachodnich sąsiadów. Małym młynom poświęcono wtedy szereg programów telewizyjnych, które starały się ich egzystencji i przyszłości nadać rangę większej sprawy. Podobnie, jak i małym elektrowniom czy przedsięwzięciom na rzecz wykorzystania naturalnych źródeł energii, zasobów, niewielkiego choćby potencjału gospodarczego — będących poza polem widzenia wielkiego przemysłu, co nie znaczy, że niewartych ekonomicznej uwagi.

Ciekawi skuteczności tych starań, zwróciliśmy się do prywatnych i spółdzielczych właścicieli i dysponentów młynów gospodarczych z zapytaniem, na ile ich małe zakłady stały się dzisiaj dużą sprawą? Rozmawialiśmy z grupą doświadczonych młynarzy: Józefem Suprynem z Lublina, Adamem Wawrzyszakiem z Krężnicy Jarej, Zbigniewem Skorupskim z Lublina i Wojciechem Malcem z Chmiela.

Najpierw krótki przegląd tego, co było i nie jest w pejzażu wiejskiej techniki. A więc wiatraki: bezpowrotnie zniknęły z krajobrazu nie tylko lubelskiej wsi. Jeden się chyba ostał i miele jeszcze zboże, gdzieś w okolicach Sarnak, na Podlasiu. Piękna była ta ich drewniana „maszyneria", przeważnie z drewna grabowego, ręcznej roboty. Przy dobrym wietrze i dużych młyńskich kamieniach, to i osiem metorów zboża na godzinę przemieć mógł taki wiatrak! Sprawę ich zachowania jako zabytków przemysłu wiejskiego, podobnie jak młynów wodnych, podnoszono jeszcze w latach 50-tych i 60-tych na zjazdach ówczesnego Ogólnopolskiego Zrzeszenia Prywatnego Przemysłu Młynarskiego. Wiatraki jednakże przeminęły, chciałoby się powiedzieć, że z wiatrem... Ale nie, to technika opatrzyła je ostatnim słowem.

A młyny wodne? Spełniały nie tylko usługową rolę w przemiale zboża. Dawały przecież — za darmo — energię elektryczną, przynajmniej dla potrzeb młyna. Stawy młyńskie zabezpieczały wodę na wypadek pożaru, w razie powodzi regulowały jej przybór, służyły rybom i ptakom. Nie mówiąc już o oddziaływaniu tych zbiorników na naturalne środowisko. Energia była więc tania, ale koszt i trud utrzymania młyna wodnego, szczególnie regulacja i konserwacja spiętrzeń wody i śluz, były o wiele wyższe, aniżeli w młynach elektrycznych. Stąd też przerabiano te młyny, jeden po drugim, na zasilane prądem. Sporo też młynów uległo dewastacji, czasem zupełnie nieuzasadnionej. „A rzeczki nasze płyną, biała energia cieknie, a prąd drożeje" — konkludują młynarze. I mają rację, że energii tej — szkoda. Na 60 młynów prywanych, zarejestrowanych w lubelskim Cechu Rzemiosł Różnych, tylko trzy wodne jeszcze pracują. I nie ma już fachowców, którzy potrafiliby ustawić w takim młynie turbinę. Bo też i turbin wodnych ze świecą dziś szukać! Do młyna wodnego trzeba mieć dobry słuch. Pan Adam Wawrzyszak praktykował „na wodzie", więc coś wie na ten temat.

Jakieś 20 lat temu — konkretyzuje Józef Supryn — było w kraju około 3200 młynów prywatnych, obecnie zostało już tylko 1180. I liczba ta stale maleje. Młyny, które jeszcze mielą — podobnie jak ich właściciele mają już „swoje" lata. Wymagają remontów i modernizacji, na co ludzi nie stać z uwagi na wysokie koszty tych operacji, no i chroniczny od lat brak części i urządzeń. „Żeby choć jeden sklep był z detalicznym zaopatrzeniem młynarskim — nieśmiało sugerują młynarze — taki, jak kiedyś przy ulicy Staszica czy Kowalskiej w Lublinie". Niewielka przeróbka urządzeń staje się ogromnym problemem, a kapitalny remont młyna sięga kwoty co najmniej trzech milionów złotych! Nie tak dawno kamień do śrutownika kosztował około 7 tys. zł, obecnie — prawie 46 tys. A mlewnik? „Dobre" pół miliona. A jednak „póty młyn miele, póki wody staje" — jak mówi stare młynarskie przysłowie. W tej „wodzie" zawiera się i ciąg tradycji młynarskiej, rwanej brakiem następców, z najbliższego nawet kręgu rodziny, nie mówiąc już o uczniach, chętnych poznać ten zawód i osiąść w nim na stałe. Zawiera się przede wszystkim brak ekonomicznej perspektywy przed rzemiosłem młynarskim w ogóle. Praca w młynie do lekkich nie należy, szczególnie w starych, niewentylowanych, zapylonych obiektach, bez zaplecza remontowego, z karkołomnymi trudnościami w zdobyciu drobnych nawet części. Nie zachęcają także do obejmowania młynów przepisy prawne i nader zmienna polityka podatkowa. Właściciele wskazują przy tym na zbyt małe kwoty wyłączone z opodatkowania podatkiem dochodowym, a z drugiej strony — na za wysokie oprocentowanie kredytów, jak również na wysokie stawki zyskowności netto.

Opinie naszych rozmówców w tych kwestiach były odbiciem dyskusji, jaką toczono na czerwcowej roboczej naradzie rzemieślników-młynarzy. Postulowano tam nawet zrównanie stopy procentowej młynarstwa z innymi rzemiosłami branży spożywczej, w niepewnościach prawnych i barierach podatkowych widząc główną przyczynę spadku zainteresowania młynarstwem, jego tradycją, przejmowaniem młynów, ich remontem i modernizacją. Co prawda Izba Rzemieślnicza w Lublinie zwracała się do Banku Gospodarki Żywnościowej o obniżenie stopy procentowej kredytu udzielanego rzemieślnikom branży młynarskiej. W sprawie podatków wystąpił do Izby Skarbowej

Mazurki na gorąco

NA zdjęciu opublikowanym w paryskim „France Dimanche" Artur Rubinstein obejmuje dziesięcioletniego chłopca o twarzy cherubina. Wzruszający to obrazek — siwa głowa mistrza oparta o czarną główkę dziecka. Jest jeszcze coś. Wydaje się, że utrwalona została chwila wspaniałego duchowego zespolenia. Fotografia pochodzi z albumu M. Laforet, pianisty wyróżnionego II nagrodą na tegorocznym konkursie im. F. Chopina.

Nigdy jeszcze w historii tych konkursów, liczącej już sobie blisko 60 lat, Francuz nie otrzymał tak wysokiej nagrody. Co prawda w 1932 roku zwyciężył także przybyły z Paryża Aleksander Uniński, ale jednak był to Rosjanin. Po wojnie jeden jedyny raz udało się osiągnąć sukces Francuzowi — Bernardowi Ringeissenowi. Na V Konkursie w 1955 roku znalazł się co prawda na czwartym miejscu, za to warszawska publiczność wyniosła go na najwyższe podium, a nawet była chwila, że jeszcze wyżej. Kiedy po ogłoszeniu wyników młody pianista wsiadał z matką do auta, rozentuzjazmowany tłum zaczął go podrzucać wraz z samochodem do góry! I dzisiaj przyszło mu patrzeć jeszcze raz na podobne chwile. Wprawdzie 19-letniemu M. Laforet nie udało się odbyć lotu samochodem, niemniej historia się powtórzyła. Wielu melomanów, obserwatorów konkursu, ba, nawet muzyków, jest zgodnych co do tego, że Laforet powinien być zwycięzcą.

Marc Laforet niemalże zaraz po konkursie wystąpił przed lubelską publicznością dzięki inżynierowi Januszowi Lempke, byłemu pianiście, a przede wszystkim melomanowi, który prosto z lotniska przywiózł rodzinę Laforet — mamę i syna. Podwójnie mu na tym zależało, gdyż: pochodzi z Lublina i należy od obozu pianisty: „W tym roku, mimo braku czasu, jakaś dziwna intuicja pokierowany, kupiłem program i zacząłem śledzić konkurs. Kiedy słuchałem M. Laforet w II etapie, stwierdziłem, że jest to niezwykły talent. Jego wykonawstwo zafascynowało mnie. Tu można mówić o prawdziwie chopinowskim stylu: niezwykłej proporcji dźwiękowej, niesłychanej finezji, umiarze i naturalności, którą widzieliśmy u tak wielkich pianistów, jak Rubinstein czy Małcużyński. Oni nie nadużywali dźwięku, natomiast potrafili wydobyć piękną i szalenie delikatną fakturę utworu. Po występie pobiegłem zaraz za kulisy, by wyrazić swoje uznanie. Mimo parasola utworzonego nad młodym pianista z rąk i programów, udało mi się zamienić z nim kilka słów i umówić się na następny raz".

I dzięki temu właśnie mogliśmy usłyszeć w lubelskiej Filharmonii utwory Chopina tak, jak grał je młodziutki pianista na konkursie. Marc Laforet ma na swoim koncie kilka złotych nagród, m. in. Konserwatorium Paryskiego w klasie prof. Pierre Sancana, Fundacji Georges'a Cziffra, a w tym roku w lutym na Międzynarodowych Przesłuchaniach Młodych Artystów w Nowym Jorku znalazł się w ścisłej czołówce, przed 300 innymi kandydatami. Otwiera mu to drogę do kariery w Stanach, gdyż wiosną następnego roku pojedzie tam na tournée artystyczne. Zapytany o ostatni sukces powiedział:

— *Muszę jednak przyznać, że najbardziej cieszy mnie ta druga nagroda. Jest to naprawdę wielki konkurs i bardzo dla mnie ważny.*

— Dawno gra pan muzykę Chopina?

— *Miałem może siedem, może osiem lat, kiedy po raz pierwszy prezentowałem ją na scenie.*

Fot. Cezary Krupa

— Niele musiało dać panu spotkanie z Rubinsteinem...

— *Z pewnością pomogło mi pokochać i zrozumieć muzykę Chopina.*

— Wziąwszy pod uwagę fakt, że jest pan po raz pierwszy w Polsce, skąd ta perfekcja w wykonaniu mazurków, utworów, bądź co bądź bardzo narodowych?

— *Jeśli chodzi o mazurki, to dopiero teraz, na jakiś rok przed konkursem, zacząłem nad nimi pracować. Ale rad udzielał mi Krystian Zimmerman, który jest moim przyjacielem.*

— To rzeczywiście nie ma się czemu dziwić. Mówią, że pan jest podobny do Chopina, szczególnie kiedy bierze się pod uwagę jedną jego fotografię. Podobne uczesanie, wyraz twarzy

(W tym miejscu Marc Laforet obdarza mnie najbardziej czarującym uśmiechem i zbędna jest odpowiedź by zrozumieć, że nie ma w tym żadnej celowości.)

— Jak wyglądał pana dzień podczas konkursu?

— *Przeważnie ćwiczyłem.*

— To nie udało się panu zwiedzić Warszawy?

— *Niewiele, choć widziałem dom Chopina w Żelazowej Woli, kościół Św. Krzyża, gdzie znajduje się jego serce, i trochę zabytków. Ale wrócę. Już w listopadzie będę grać w warszawskiej Filharmonii.*

— Która z nagród pozaregulaminowych najbardzi pana ucieszyła?

— *Fortepian „Calisia", który dostałem właśnie za najlepsze wykonanie mazurków.*

— Czym interesuje się pan poza muzyką?

— *Naprawdę mam rozległe zainteresowania. Wiem o wszystkim, co dzieje się w moim kraju. Uprawiam sport, szczególnie tenis.*

— Mama zwierzyła mi się, że brat pański gra również na pianinie.

— *Owszem, on gra jazz. To jest również bardzo interesujące. I bardzo mi pomaga.*

Marc Laforet, zarówno na scenie, jak i za kulisami, jest bardzo naturalny, spontaniczny, otwarty. Robi wrażenie człowieka, którego cieszy wszystko, co się wokół niego dzieje.

Niedługo usłyszymy w Lublinie drugiego ulubieńca publiczności, laureata I nagrody, rewelacyjnego Stanisława Bunina. Ciekawe, jak będą nam smakować „mazurki na zimno"?

Irena Filus

---

przewodniczący Komisji Przemysłu Terenowego Rzemiosła i Usług WRN. Starania o dogodne warunki kredytowe poczynił też Centralny Związek Rzemiosła... Ostateczne rozwiązanie tej kwestii spoczywa jednak w rękach najwyższych instancji finansowych, a nawet i decyzji sejmowych.

Pewne ożywienie w małych młynach wprowadziło podpisane w maju tego roku porozumienie między Zrzeszeniem Przedsiębiorstw Zbożowych i Młynarskich „PZZ", a Centralnym Związkiem Rzemiosła w sprawie usługowego przemiału zbóż w prywatnych młynach gospodarczych. Na wspomnianych 60 młynów rzemieślniczych 12 podjęło się już tych przemiałów na ogólną ilość 3200 ton w roku bieżącym. Nie wszystkie jednakże młyny są przystosowane do wykonania tej usługi i nie wszystkie stać na dokonanie przeróbek i modernizacji. Sporą pomoc w tym zakresie, co wynika z porozumienia, mogą udzielić PZZ (m. in. w zakupie potrzebnych urządzeń i części, w taniej adaptacji młyna do odbioru zboża luzem, w technologii przemiału, pakowania, ekspediowania itp.).

Dużą sprawą dla małych młynów jest postulowany przez naszych rozmówców powrót do dawnych cechowych form organizacji. W latach siedemdziesiątych, po włączeniu młynarstwa do rzemiosła, taki samodzielny cech istniał czas jakiś, potem go zlikwidowano. Pozostała po nim dobra, dokładna dokumentacja młynów, kadry, mocy itp., lecz i ta rozproszyła się później po czterech nowych „lubelskich" województwach. W każdym razie jest potrzeba skupienia się młynarzy w jednym cechu: dla odnowienia więzi zawodowych, wymiany doświadczeń, informacji (szczególnie finansowych), wydawnictw, przede wszystkim zaś — w celu reprezentowania i obrony własnych młynarskich interesów. Sugestia utworzenia takiej organizacji w Lublinie nie jest odosobniona, bowiem ogólną tendencją w Polsce staje się już zakładanie cechów rzemiosł spożywczych, w tym także i młynarskich — zresztą w myśl uchwały Krajowej Rady Rzemiosła. Starania więc lubelskich młynarzy w tym względzie są warte zrozumienia i wsparcia. Bo cóż po młynie, jak w nim woda nie płynie? Dopasujmy więc do przysłowia i tę potrzebę rozwinięcia społecznej inicjatywy samych rzemieślników. Dopóki jeszcze istnieją...

Małe młyny — duża sprawa? Jak przedstawia się ta kwestia widziana przez spółdzielczość rolniczą? I tu rysują się problemy na tyle ciekawe, co i trudne, jak wynika z informacji uzyskanych w Dziale Produkcji WZSR w Lublinie. Wspomniane na wstępie rozporządzenie Rady Ministrów może zachęcić do prywatnego zakupu młynów spółdzielczych, ale... Przetwórnie te mają swoją cenę, zgodnie z prawem nabyć je można drogą przetargu po uprzednim otrzymaniu zgody walnego zgromadzenia spółdzielni. Młyny przejęte niegdyś przez GS są bowiem własnością określonej grupy ludzi zrzeszonych w organizacji spółdzielczej i tylko to gremium kompetentne jest do wydania decyzji w sprawie sprzedaży obiektów — także wówczas, jeśli ubiegają się o nie ich byli wieloletni właściciele. Te unormowania prawne rozgoryczają młynarzy. Za młyny kiedyś upaństwowione, bez rekompensaty, dzisiaj przychodzi im płacić olbrzymie sumy, kiedy chcą je nabyć na własność. Wiele jest z tego tytułu kontrowersji, sporów, poczucia krzywdy. No, cóż — dura lex sed lex. Do tej pory sprzedano chętnym osiem takich obiektów.

Obecnie GS w województwie lubelskim posiadają 54 młyny, w tym 19, które podjęły się wspomnianych przemiałów dla PZZ. I tutaj doskwierają takie same trudności i problemy, jak w rzemiośle prywatnym: stan techniczny obiektów, brak części i urządzeń, choć Dział Zaopatrzenia Materiałowego WZSR stara się jak może. Kłopoty też są z kadrą, coraz to starszą i coraz mniej liczną. Do podejmowania pracy w młynarstwie spółdzielczym nie zachęcają niskie, o wiele niższe niż w PZZ, stawki godzinowe. Spada także przemiał dla rolników, którzy zaopatrują się w gotowy chleb, nabywają na własność śrutowniki, a więc rozwiązują w swoim zakresie część usług i potrzeb młynarskich. Spółdzielcze młyny reperuje własna grupa remontowa, powołana jeszcze w 1980 roku. Ale, jak wspomnieliśmy, koszty kapitalnych remontów są bardzo wysokie i stać na nie naprawdę spółdzielnie silne produkcyjnie, których jest niewiele. A młyny wodne? Są! Jeszcze trzy spółdzielcze młyny wodne mielą zboże: w Częstoborowicach, Woli Rudzkiej, Pomorzu koło Opola, a czwarty, w Bochotnicy, będzie wkrótce uruchomiony. W Kazimierzu Dolnym do zawodu młynarza przyucza się... jeden uczeń. Młynarzami z fachu są także trzy panie.

We wszystkich jednak obiektach — lepszych i starszych, nowoczesnych i tradycyjnych — ofiarnie pracują młynarze, lepiąc i sztukując swoje młyny. Niektórzy mają od lat wyrobioną markę, dla której opłaca się klientowi nałożyć wiele kilometrów drogi, by właśnie tam, a nie gdzie indziej mleć zboże.

Te małe młyny są dla rzemieślników nadal dużą sprawą. Dobrze, by stały się sprawą bardziej doceniona w ogólnym interesie społecznym i gospodarczym.

Fot. Arkadiusz Karon

Komisariat Ludowy w Lublinie za czasów Daszyńskiego i Moraczewskiego

Stanisław Michałowski

W CZASIE burzliwych wydarzeń odzyskiwania przez Polskę niepodległości powstał 7 listopada 1918 r. w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. Po powrocie Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu rząd lubelski ustąpił na rzecz gabinetu Moraczewskiego. Działalność obu tych rządów jest w chwili obecnej stosunkowo dobrze opracowana. Natomiast prawie zupełnie jest nieznane, głównie z powodu słabego zachowania materiałów źródłowych, funkcjonowanie aparatu terenowego tych rządów — komisariatów ludowych, którymi kierowali komisarze ludowi.

11 listopada 1918 r. Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej mianował komisarzem ludowym miasta Lublina Władysława Kunickiego, znanego działacza PPS i dyrektora Gimnazjum Handlowego Żeńskiego. Kunicki za pośrednictwem prasy zwrócił się do społeczeństwa miasta z następującym apelem: „Obejmując ten urząd, w tej ważnej przełomowej chwili, będę dążył do wcielenia w życie zasad zawartych w odezwie Tymczasowego Rządu Ludowego i wzywam wszystkich, a w szczególności lud pracujący m. Lublina, do współpracy".

Zakres pierwszych czynności Kunickiego, podobnie jak i innych komisarzy ludowych mianowanych przez rząd lubelski, regulowała Instrukcja nr 1, wydana przez ministra spraw wewnętrznych Stanisława Thugutta. Nakazywała ona objęcie w posiadanie i roztoczenie opieki nad wszelką własnością rządową, utworzenie nadzoru nad własnością skarbu, zorganizowanie w możliwie najkrótszym czasie Milicji Ludowej w mieście, współdziałanie z polskim komendantem wojskowym przy zwalczaniu bandytyzmu, zapobieganie tumultom, przejmowanie zapasów oraz pieniędzy po wojskach i władzach austriackich, zabezpieczenie przed rozgrabieniem i wywozem w celach spekulacyjnych żywności z miasta, jak też dowozu żywności przez gminę do miasta. W realizacji zadań wynikających z Instrukcji Kunickiemu dzielnie pomagał jego zastępca, inżynier Edmund Scheur, a nad bezpieczeństwem w mieście czuwała przede wszystkim Milicja Ludowa. Tej ostatniej Kunicki praktycznie nie musiał organizować, gdyż istniała od kilku już dni jako organ Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych. Z chwilą powstania rządu Daszyńskiego przedstawiciele PPS w Radzie podporządkowali Milicję Ludową rządowi, a tym samym przeszła ona pod bezpośredni nadzór Kunickiego, który na jej komendanta mianował ppor. Wojska Polskiego Stefana Sewera-Kirtiklisa. Nad spokojem miasta czuwać miały także: Milicja Miejska, utworzona jeszcze przez samorząd lubelski z czasów okupacji austriackiej, oraz proendecka Straż Bezpieczeństwa Publicznego, które Kunicki w dniu 15 listopada 1918 r. oddał pod zwierzchni nadzór komendanta ML. Krok ten umacniał wpływy PPS, a jednocześnie miał zapobiec systematycznie zdarzającym się przypadkom rozbrajania członków Straży Bezpieczeństwa Publicznego przez milicjantów.

Sympatie Kunickiego dla Milicji Ludowej wynikały nie tylko z przyczyn ideowych, ale także z autentycznej pomocy, jakiej doznawał z jej strony w sprawowaniu funkcji komisarza, a zwłaszcza w utrzymaniu ładu i porządku, w przejmowaniu i zabezpieczaniu majątku po byłych władzach austriacko-węgierskich. Równocześnie sprawował on bezpośredni nadzór nad towarami zarekwirowanymi przez członków Milicji, jak żywność, mąka, spirytus, mydło, papierosy, skóry itp.

Władysław Kunicki

Rys. Józef Tarłowski

W pierwszych dniach funkcjonowania Komisariatu Ludowego Kunicki i Scheur załatwiali najwięcej spraw związanych z wydawaniem dokumentów i biletów na podróż w celach służbowych dla członków Milicji Ludowej, przedstawicieli władz miejskich i osób cywilnych. Podjęli również starania na rzecz najuboższej ludności Lublina, m. in. poprzez udzielenie Zarządowi Tanich Kuchen Robotniczych zezwolenia na ubój zwierząt rzeźnych, a siostrom miłosierdzia na używanie naczyń i umeblowania (pozostałych po menaży austriackiej w gmachu podominikańskim) w kuchni dla sierot i starców. Komisariat Ludowy udzielał także doraźnej pomocy — w postaci desek na łóżka, telefonu, środków żywnościowych — jeńcom wojennym, przebywającym w schronisku zorganizowanym w byłych koszarach kozackich.

Kilkudniowy okres sprawowania przez Kunickiego cywilnej władzy w imieniu rządu Daszyńskiego charakteryzował się ciągłym napięciem w mieście. Wynikało to z braku ścisłego rozgraniczenia kompetencji, z trudności finansowych rządu, a także występujących przypadków samowoli organów porządkowych i wojska. Zdarzało się nawet, że żołnierze strzelali do przechodniów (13 listopada 1918 r. w dzielnicy Kalinowszczyzna), w wyniku czego jedna osoba została zabita, a jedna ranna; pobili także buchaltera młyna parowego „Piaski" (14 listopada). Kunicki domagał się od Komendy Placu Wojsk Polskich w Lublinie wszczęcia śledztwa w tych sprawach, „gdyż bezkarność żołnierzy w podobnych wypadkach wprowadzała element rozkładowy w społeczeństwie".

Na trudności w utrzymaniu ładu i porządku publicznego wpływała m. in. sytuacja materialna rządu lubelskiego i Magistratu miasta Lublina. Powodowała ona zjawiska rabunku i lichwy żywnościowej, ale także i określone perturbacje w utrzymaniu służb bezpieczeństwa. Z tego powodu np. 16 listopada 1918 r. Milicja zagroziła strajkiem.

Tymczasem 18 listopada Piłsudski podpisał nominację ministrów nowego rządu, którego oblicze polityczne było zbliżone do oblicza rządu lubelskiego. Thugutt utrzymał Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. 20 listopada telefonogramem poinformował on Kunickiego, iż „nie ma prawa zawieszać urzędników podległych innym ministerstwom, jak skarbu, aprowizacji i oświaty, ani wydawać żadnych rozporządzeń w zakresie kompetencji organów tychże ministerstw, lecz przeciwnie, udzielać im pomocy". Tego samego dnia Kunicki otrzymał z MSW (od wiceministra Januszewskiego) specjalne wytyczne w sprawie opieki nad robotnikami powracającymi z Niemiec do kraju.

Przewidywana przez rząd Moraczewskiego masowa reemigracja robotników do ojczyzny zapewne nie nastąpiła, lecz nawet nieliczne powroty rodaków do Lublina pogłębiały istniejące już trudności. Wynikały one z ówczesnej sytuacji przemysłu lubelskiego, zniszczonego częściowo przez działania wojenne, demontaż urządzeń i maszyn oraz ich wywóz w głąb Rosji. Wiele zakładów odczuwało brak surowców i paliw, a także zamówień na swoje wyroby. Niekorzystna sytuacja materialna robotników, wynikająca z braku pracy, niskich zarobków, ciężkich warunków bytowych, wpływała na aktywizację klasy robotniczej Lublina, a zwłaszcza jej reprezentantów: partii politycznych, związków zawodowych i Rady Delegatów Robotniczych. Ta ostatnia bardzo często interweniowała u komisarza Kunickiego w sprawach najżywotniejszych dla robotników i najbiedniejszej ludności, a 19 listopada 1918 r. przesłała dwie uchwały, w których domagała się zaprzestania prowadzenia spraw politycznych przez sądy rządu ludowego w związku z aresztowaniem i wszczęciem śledztwa w stosunku do robotnika Kowalskiego (został on aresztowany i pobity za agitację przez proendecką Straż Bezpieczeństwa Publicznego) oraz żądała od komisarza wyjaśnienia przyczyn kłopotów z aprowizacją i zaopatrzeniem w broń Milicji Ludowej.

Trudności z zaopatrzeniem Milicji Ludowej w żywność, umundurowanie, broń oraz z opłatą żołdu towarzyszyły systematycznie pracy Komisariatu, mimo iż na ten cel przeznaczał on nierzadko produkty i towary przejęte po byłych placówkach rządu austriackiego i zarekwirowane przez Milicję Ludową. Zapotrzebowanie Milicji na produkty żywnościowe i opał realizowały także: Wydział Aprowizacji Magistratu i Starostwo Powiatowe Lubelskie, a finansował je Komisariat Ludowy. Jednakże ogromne trudności finansowe, z jakimi borykały się oba rządy ludowe, powodowały, że o każdą sumę Kunicki i Scheur musieli zabiegać wielokrotnie. Istotnej pomocy w zaopatrzeniu Milicji Ludowej w broń i umundurowanie mogła udzielić Komenda Powiatowa Wojska Polskiego, która nawet otrzymała 20 listopada 1918 r. z Ministerstwa Wojny polecenie, aby zapewnić wszelką pomoc komisarzom ludowym w ich czynnościach urzędowych. W praktyce pomoc ta była ograniczona, a utrudniały ją sporadyczne przejawy samowoli ze strony wojska oraz wypadki rozbrajania wojskowych przez milicjantów.

Na rzecz Milicji Ludowej oddał Kunicki gmach byłego Gimnazjum Żeńskiego, lecz bez jego wiedzy, jak pisał 3 grudnia 1918 r., Ministerstwo Wojny w porozumieniu z Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego chciało ponownie oddać koszary Milicji na szkołę. Dla tego wytrawnego pedagoga, oddanego całym sercem szkolnictwu, który w tej przełomowej chwili musiał jednak bardziej dbać o bezpieczeństwo publiczne, zapewniane przede wszystkim przez Milicję Ludową, był to jeden z przejawów naruszania władzy komisarza ludowego. Apelował więc do MSW o wydanie odpowiednich międzyministerialnych zarządzeń, zapobiegających wykroczeniom przeciwko władzy wykonawczej komisarzy.

Prośba Kunickiego w praktyce nie została zrealizowana i wypadki naruszania jego kompetencji zdarzały się nadal. 19 grudnia komendant Milicji Ludowej Sewer-Kirtiklis meldował mu, iż wojskowe dowództwo miasta wkracza w atrybucje komisarza, wydając broń ludności cywilnej bez względu na to, komu ona przysługuje, oraz wchodzi w kompetencje Urzędu Aprowizacyjnego RP, zezwalając na wywóz towarów poza obręb Lublina. Przyczyną kolejnych rozbieżności pomiędzy Komisariatem Ludowym a wojskiem była próba przejęcia przez Wydział Techniczno-Wojskowy zapasów drewna budowlanego po byłej austriackiej Komendzie Obwodowej, znajdujących się w gestii Komisariatu.

Przedstawione przykłady naruszania kompetencji komisarza ludowego wynikały z braku konsekwentnej linii politycznej rządu Moraczewskiego, który z tego powodu zwalczany był zarówno przez prawicę społeczną, jak i lewicę rewolucyjną. Przykładem takiej niekonsekwencji była kwestia dalszego funkcjonowania Rady Miejskiej w Lublinie, powstałej w kurialnych wyborach w okresie rządów austriackich. Komisarz Kunicki zajmował w tej kwestii stanowisko zbieżne z uchwałą socjalistycznej większości Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych, żądającej rozwiązania Rady Miejskiej i przeprowadzenia nowych wyborów do niej, opartych na pięcioprzymiotnikowym prawie wyborczym. Natomiast minister spraw wewnętrznych w depeszy z 30 listopada 1918 r., zgodnie z wydanym dzień wcześniej rozporządzeniem o demokratycznej kooptacji do rad miejskich, zarządził ustalenie nowego składu Rady Miejskiej w Lublinie drogą dokooptowania do dotychczasowego jej składu 50 proc. nowych radnych w terminie do 10 grudnia 1918 r. Kunicki w swej odpowiedzi z 3 grudnia, powołując się na dotychczasowe zabiegi mas robotniczych o rozwiązanie Rady Miejskiej, oświadczył m. in.: „Rząd Ludowy, którego jestem reprezentantem, nie może stać w sprzeczności z masą robotniczą i nie może tolerować instytucji opartej na tak niedemokratycznych zasadach". Sugerował więc MSW rozwiązanie Rady Miejskiej i ustanowienie, do czasów nowych wyborów, komisarza do spraw samorządowych miasta Lublina w osobie Włodzimierza Hausnera. W przypadku odrzucenia proponowanego rozwiązania Kunicki prosił o przyjęcie jego dymisji z zajmowanego stanowiska. Z postulatów Kunickiego MSW przyjęło tylko sugestię mianowania Hausnera komisarzem samorządu miasta Lublina, którego zadaniem było kontrolowanie czynności wszystkich organów samorządu i w miarę konieczności zawieszanie uchwał lub zarządzeń tych organów. W

związku z tym 13 grudnia komisarz ludowy prosił o telegraficzne upoważnienie go do rozwiązania Rady Miejskiej. I ta prośba nie została uwzględniona, chociaż jeszcze tego samego dnia ukazał się dekret Naczelnika Państwa, polecający przeprowadzenie wyborów w tych miastach, gdzie nie dokonano demokratycznej kooptacji do rad miejskich.

W sytuacji formalnego istnienia Rady Miejskiej w Lublinie (każda zapowiedź jej zwołania wywoływała u ludności robotniczej postanowienie o rozpędzeniu tego organu) Kunicki nalegał w MSW o jak najszybsze przeprowadzenie wyborów, których termin został ostatecznie wyznaczony przez ministra spraw wewnętrznych na 23 lutego 1919 r.

Okres listopada i grudnia 1918 r. charakteryzował się żywiołowymi wystąpieniami robotników i służby folwarcznej. Komisariat kierowany przez Kunickiego generalnie sympatyzował z masami ludowymi i reagował na ich odczucia, chociaż zdarzały się i takie sytuacje, gdy reprezentująca interesy tych mas Lubelska Rada Delegatów Robotniczych wyrażała komisarzowi wotum nieufności (18 grudnia 1918 r.) ze względu na: nieuczestniczenie komisarza w posiedzeniach Rady, co miało świadczyć o niechęci Kunickiego do utrzymywania z nią kontaktów, dokonywanie aresztowań działaczy robotniczych przy jego rządach, nieprzeciwdziałanie lichwie mieszkaniowej, eksmisji robotników i bezrobotnych z mieszkań oraz niepowołanie Komisji Aprowizacyjnej, która mogłaby usprawnić zaopatrzenie robotników. W swej odpowiedzi z 20 grudnia Kunicki wyjaśniał, że na posiedzeniach Rady zawsze bywać nie może ze względu na brak czasu, a co do aresztowań, to powoływał się na wydane przez siebie rozporządzenie, iż mogą one być dokonywane jedynie za zgodą komisarza. Zdarzającym się przypadkom eksmisji z mieszkań, jak twierdził, nie mógł przeciwdziałać, gdyż należało to do kompetencji Ministerstwa Sprawiedliwości, radził jednak korzystać z prawa o lichwie mieszkaniowej, gdyby właściciele domów podnosili nadmiernie czynsz. Powołanie Komisji Aprowizacyjnej uzależniał natomiast od szybkiego ogłoszenia nowej ustawy miejskiej i wyborów do Rady Miejskiej w Lublinie.

Rozwiązanie niektórych słusznych postulatów socjalnych i politycznych, zgłaszanych przez LRDR w imieniu robotników i biedoty miejskiej, rzeczywiście przerastało możliwości Komisariatu Ludowego, gdyż wymagało gruntownych rozwiązań systemowych ze strony rządu Moraczewskiego. Niemniej wszelkie interpelacje, protesty i prośby składane na ręce komisarza przez Radę i jej sekcje nie pozostawały bez odpowiedzi, a sprawy bieżące, nie cierpiące zwłoki, często indywidualne, były szybko załatwiane. Tak było m. in. z przyznaniem węgla dla fabryki cykorii Freitaga, sali na obrady Rady Delegatów Robotniczych, z prośbami o zajęcie się losem bezrobotnej Ksawery Lechowicz, którą gospodarz usuwał z mieszkania, czy chorej matki bezrobotnego Wiktora Figeta.

Tymczasem 16 stycznia 1919 r. podał się do dymisji gabinet Moraczewskiego, a na czele rządu stanął Ignacy Paderewski. Kunicki zareagował na ten fakt złożeniem rezygnacji z funkcji komisarza ludowego i przekazaniem jej zastępczo Scheurowi. MSW poleciło mu jednak pozostać na stanowisku do 31 stycznia 1919 r. W tym czasie Kunicki odpowiedzialny był za ochronę 44 biur wyborczych do Sejmu Ustawodawczego, zlokalizowanych w Lublinie, zlecał także jeszcze Komendzie Milicji Ludowej przeprowadzenie rewizji celem przejęcia tajnych składów towarów.

W pięć dni po przeprowadzeniu wyborów do Sejmu Ustawodawczego Kunicki zawiadomił mieszkańców Lublina o przyjęciu jego dymisji przez MSW i przejęciu obowiązków przez komisarza ludowego na powiat lubelski — Ignacego Chrapowickiego. Tym samym kończył się okres funkcjonowania Komisariatu Ludowego w Lublinie. Komisariatu, który kierowany przez socjalistę, próbował realizować piękne enuncjacje Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej w Lublinie.

Dymisja marszałka Śmigłego

Mirosław Derecki

W OPUBLIKOWANYM 9 listopada 1939 r. w Paryżu urzędowym „Monitorze Polskim" (nr 245/251) ogłoszony został dokument podpisany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza, zajmującego od 30 września to stanowisko. Dokument dotyczył dotychczasowego Naczelnego Wodza polskiej armii, Edwarda Rydza-Śmigłego, internowanego w Rumunii, i nosił datę 7 listopada 1939 r.:

„Nawiązując do pisma Pana Marszałka z dn. 27 X br., w którym złożył Pan Swoją funkcję, na podstawie art. 13, ust. 2, pkt. d. Ustawy Konstytucyjnej, zwalniam Pana Marszałka ze stanowiska Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych". Obok podano treść zarządzenia Prezydenta, mianującego Naczelnym Wodzem oraz Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych — gen. Władysława Sikorskiego, premiera ukonstytuowanego przed ponad miesiącem nowego rządu RP.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że owo złożenie przez marszałka Śmigłego buławy Naczelnego Wodza odbyło się w sposób bezbolesny Edward Rydz-Śmigły, choć w związku z internowaniem go przez władze rumuńskie, pozbawiony kontaktu z armią, a więc i jakichkolwiek możliwości ewentualnego dowodzenia polskim wojskiem, mimo ciążącej na nim odpowiedzialności za przegraną kampanię wrześniową, co więcej: pomimo opuszczenia nocą z 17 na 18 września walczących wojsk i przekroczenia granicy rumuńskiej, co spowodowało powszechne oburzenie, a przez większość Polaków zostało uznane za czyn haniebny — otóż marszałek wcale nie kwapił się do zrzeczenia się swego stanowiska.

Już w dwa dni po znalezieniu się na terenie Rumunii, w wydanym 20 września 1939 r. rozkazie, Rydz-Śmigły stwierdził m.in.: „zdecydowałem wykorzystać możliwości wycofania dość dużej ilości wojska na terytorium Węgier i Rumunii; postanowiłem to zrobić w tym celu, by móc was następnie przewieźć do Francji i tam zorganizować armię polską..." Rzecz w tym, że armia ta — czy też raczej jej szczątki — wcale nie miała ochoty być „przewożona" do Francji właśnie przez Rydza-Śmigłego, który zresztą, w rozumieniu konwencji haskiej, znalazłszy się jako czynny żołnierz na terytorium państwa neutralnego, podlegał internowaniu i tracił władzę nad swoimi dotychczasowymi podkomendnymi. Co więcej: wydając ów „rozkaz" bez pokrycia, Śmigły znajdował się pod strażą w pałacu arcybiskupim w Craiovej, na południu Rumunii, jego sztab był internowany na północnym jej krańcu, we wschodnich Karpatach, w miejscowości Vatra-Dornei, zaś minister spraw wojskowych, Tadeusz Kasprzycki, przebywał jeszcze gdzie indziej: w uzdrowiskowym Slanie, wraz z innymi członkami polskiego rządu.

Przed wieczorem 18 września w przygranicznych Czerniowcach został przez Rumunów sformowany specjalny pociąg dla polskich dostojników i pracowników rządu i wojska; w czasie nocnej podróży poszczególne człony tego pociągu były rozdzielane i kierowane do różnych miejscowości kraju.

Już na samym początku owej tragicznej w swej wymowie podróży miały miejsce wydarzenia w niedwuznaczny a dobitny sposób określające stosunek polskich uchodźców do postępku marszałka Rydza-Śmigłego. Jeden z pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, znajdujący się wówczas w Czerniowcach, Jan Meysztowicz, miał po z górą czterdziestu latach napisać w swoich wspomnieniach (na łamach tygodnika „Za i przeciw" w 1982 r.): „rozbiegła się [...] wiadomość, że w Czerniowcach znajduje się również Naczelny Wódz, marszałek Rydz-Śmigły. Wkrótce [...] nikt wątpliwości mieć nie mógł. Posypały się inwektywy, najbrutalniejsze, najbardziej gorzkie słowa z ust cywilów i wojskowych pospołu. Do przygniatającego uczucia rozpaczy wtargnął jad wstydu [...]. Z łatwością zatem przyjmowano fałszywe wiadomości, że jakiś oficer rezerwy strzelił do Śmigłego z pistoletu na dworcu w Czerniowcach, ale chybił. [...] Na dworcu w Czerniowcach doszło między marszałkiem a Beckiem do ostrej wymiany zdań. Naczelnego Wodza, przed zaledwie trzema tygodniami »drugą osobę w państwie« spotkał w korytarzu wagonu Zbigniew Błażyński, z ostatniego rocznika praktykantów MSZ, i wypowiedział tak głośno, iż marszałek musiał udać, że nie słyszy, parę dobitnych określeń pod jego adresem".

Fot. CAF

Tak. Pozostawienie przez marszałka walczących w Polsce wojsk i jego znalezienie się na terenie obcego państwa, podczas gdy tysiące żołnierzy biły się i ginęły, broniąc ostatnich skrawków kraju, było dla uczestników tamtych wydarzeń czymś nieprawdopodobnym, nie mieszczącym się w głowie. „Ucieczka", „tchórzostwo", „zdrada" — to były te pierwsze, najłatwiej i najszybciej cisnące się na usta, oskarżenia, choć przecież cały wachlarz różnych bardzo okoliczności oraz przyczyn złożył się, w istocie, na taką, a nie inną decyzję, powziętą nagle przez Naczelnego Wodza. N a g l e — bo jeszcze na popołudniowej naradzie z udziałem prezydenta Mościckiego, premiera Składkowskiego, ministra Becka oraz Śmigłego w przygranicznych Kutach, 17 września, marszałek stwierdził wyraźnie, że pozostaje w kraju, pożegnał się z prezydentem i wyruszył do swego sztabu. Pojawienie się Rydza-Śmigłego następnego dnia rano w Czerniowcach było dla niektórych uczestników tamtej narady w Kutach całkowitym zaskoczeniem.

Miał Śmigły swoich apologetów, miał swych wielbicieli, i swoich zdecydowanych przeciwników. Ale ani jednym, ani drugim nigdy nawet myśl w głowie nie powstała, by mógł postąpić tak, jak postąpił nocą z 17 na 18 września. Panowały na jego temat przed wojną bardzo różne opinie, a wśród nich także takie, jak owa, zanotowana przez jednego z najbardziej światłych polskich oficerów, nie „zaślepionego" wcale bez reszty przez panujący system, pułkownika Stefana Roweckiego, późniejszego generała „Grota" — naczelnej postaci polskiego podziemia. Pod datą 22 maja 1939 r. płk Rowecki pisał w swoim notatniku: „Przed kilku dniami rozmawialiśmy w gronie kolegów na temat naszych wyższych dowódców, którym przyszłoby wziąć na barki ciężar dowodzenia w wojnie, która nieuchronnie wkrótce wybuchnie. [...] Opinie te zresztą pokrywają się niemal całkowicie z moimi poglądami. [...] Marszałek Śmigły-Rydz — jako Naczelny Wódz — będzie chyba bezkonkurencyjny. Nikt nie ma takiego liniowego przygotowania, od dowódcy baonu poprzez pułk, brygadę, dywizję, grupę, armię i front do Naczelnego Wodza. Nikt nie miał takiego szczęścia wojennego, nikt z wyższych d-ców nie cieszy się takim ogólnym żołnierskim zaufaniem. Za bardzo jedynie Naczelny Wódz — zauważał jakby z jakąś obawą autor notatek — zaabsorbowany jest w okresie bezpośrednio poprzedzającym wojnę różnymi sprawami społecznym czy o charakterze propagandowym. Wystarczy, aby kilku powstańców czy rezerwistów utworzyło związek, a już Naczelny Wódz przyjmuje ich na audiencji i fotografuje się. Gdy jego umysł i serce zaprzątnięte są takimi drobiazgami, może ich nie starczyć na sprawy zasadnicze i bardzo ważne". Jakoż — nie starczyło, niestety.

Jak się rzekło, internowany w Rumunii marszałek Śmigły ani myślał o zrezygnowaniu ze swego stanowiska. Wspomniany rozkaz do wojska z 20 września 1939 r. był początkiem całego szeregu następnych poczynań — mniej lub bardziej udanych — a wśród nich: znanej misji majora Galinata, członka Legionu Młodych, który został

Dokończenie na str. 8—9

„Mierzyć po ludzku"

CZEKANIE to trwały temat literatury kobiecej. I odwieczny motyw kobiecego losu: czekanie na właściwego mężczyznę, na powrót bliskich, na narodziny dziecka. Kobiece czekanie nie jest nigdy abstrakcyjne, ono ma związek z ludźmi, na których się czeka, łączy się ze szczęściem, nadzieją i bólem. Wywołuje niepewność, strach i agresywność, ale także czułość i ciepło. Ludzkiemu czekaniu towarzyszyć musi zwykle wiara, czasem ta mała, śmieszna i beznadziejna, ale zawsze przecie wytrwała, nie łamiąca się pod ciśnieniem przeciwności. Choć może właściwie wszystko to: wiara, czekanie, nadzieja, są to jakieś prawdy i ideały zeszłowieczne. W oparciu o takie ideały buduje jednak świat literacki w swojej nowej powieści Elżbieta Cichla-Czarniawska.

Dwa wielkie pytania drążą głęboko tę rwącą się opowieść o ludzkich cierpieniach, o przemijaniu i odchodzeniu starego świata: dlaczego człowiek czeka, cierpi i nie doczekuje się i gdzie szukać jakichś wyższych celów i motywów, które tym wszystkim rządzą? Forma tej książki jest jakby swoistym zapisem pamięci. Opowieść rwie się i gubi, nakładają się na siebie zdarzenia z różnych lat, epok, o rozmaitym ciężarze gatunkowym. Niektóre motywy i sytuacje, może pozornie drobne i nieistotne, wracają po wielekroć i oglądane są za każdym razem z nowej perspektywy, ustawiane stale w innych kontekstach. Ścinanie kwiatów w ogrodzie, zapach kwitnącej jabłoni w sadzie przy rodzinnym domu, czyjś uśmiech albo spojrzenie zapadają na trwałe w pamięć i powracają potem przez całe życie.

I dziwią się czasem sobie samym bohaterki tej opowieści, dwie stare kobiety: Zofia i Emilia, że przecież tak żyć nie można, że to dziwaczne i męczące żyć stale przeszłością, i tęsknotami, które nigdy już się nie spełnią. Ale wiedzą jednocześnie, że inaczej żyć nie potrafią, bo one przecież wciąż jeszcze należą do innego świata, którego już po prostu nie ma i którego nawet opowiedzieć i opisać nie można. Stąd pewnie ta celowa forma pociętej, pogubionej narracji, zbudowana na zasadzie wyciągania z pamięci pojedynczych zdarzeń, oglądania ich z czułością i żalem. Bo ten świat, a właściwie dwa różne światy i dwie odmienne rzeczywistości obecne stale w świadomości i pamięci Zofii, nie dają się opowiedzieć zwyczajnie i po kolei i nie można w nich ułożyć zwykłej hierarchii zdarzeń i ludzi. Świat dzieciństwa przeżytego w białym dworku, z parkiem i ogrodem, miniony świat pełen kwiatów, ciężkich mebli, kremowych firanek i zachodów słońca, oglądanych z okna panieńskiego pokoju, nie istnieje. I do przeszłości należy już także epoka podłości i upokorzeń, czas wojny, który zburzył radosne dzieciństwo i pełną nadziei młodość. Te dwa światy minione nakładają się wzajemnie na siebie, mieszają i współistnieją wciąż w pamięci ciężko chorej Emilii i pełniącej przy niej rolę anioła opiekuńczego, Zofii.

Bohaterki powieści Elżbiety Cichli-Czarniawskiej przez całe życie nie potrafią się pogodzić z utratą domu, rozkradzionego i rozdeptanego zaraz po wojnie przez chłopów. Zwłaszcza dla Emilii, uwikłanej od wczesnego dzieciństwa w nieuleczalną chorobę, historia i wielkie dziejowe zdarzenia mają jakiś nierealny wymiar, bo ona wciąż żyje czasem minionym, wciąż kocha nieżyjącego od dawna mężczyznę i nawet wierzyć nie chce, że ten ukochany człowiek został w czasie okupacji zamordowany jako kolaborant. Zresztą i druga bohaterka, Zofia, także stale żyje minioną miłością i wciąż wierzy w przeszłość, ale ona wie przynajmniej, że jest to po prostu „mozolne szukanie śladów, po to tylko, aby oswoić teraźniejszość".

Życie bohaterek tej książki, wydawałoby się, jest przykładem egzestencjonalnego „bytu ku śmierci", bo właśnie śmierć czai się nieustannie w ich życiu, w chorobie, w śmierciach bliskich. I to ich życie, które zawsze było, od dzieciństwa, jednym wielkim czekaniem, najpierw na powroty chorej matki z zagranicznych uzdrowisk, potem na ukochanych mężczyzn, na koniec wojny, wreszcie czekaniem na możliwość nowego ogarnięcia życia i zorganizowania własnego świata na powojennych gruzowiskach. A w końcu to czekanie stało się czekaniem na śmierć. Czekanie na śmierć nie jest jednak wyłącznie bytowaniem absurdalnym, ono ma swoje sensy, bo nawet żyjąc „ku śmierci", żyje się, czasem nawet wbrew własnej woli, dla kogoś i po coś. „Bo jednak żyje się nie przez siebie, lecz przez drugiego człowieka, choćbyśmy czasem o tym zapominali. Jego istnienie nas sprawdza, dodaje odwagi i stanowi o sensie poczynań". I kończy tę powieść zdanie: „Świat nie jest opustoszały, dopóki potrafimy wypełnić go nami. I coś po nas dla innych zostawić". A więc jednak w każdym człowieku pozostaje to, niekiedy podświadome, pragnienie, żeby życie „mierzyć po ludzku".

Kobiece losy w opowieści „Wiosna, Emilio" są więc w pełni usensownione, choć same bohaterki nie bardzo może o tym wiedzą. Bo nadzieja i wiara w ich życiu pojawiały się zwykle na mgnienie oka, kiedy były najmniej oczekiwane, a ich cień miewał oblicze czasem Boga, a czasem Losu, a w obydwu przeplatała się miłość z szyderstwem i okrucieństwem.

Jest w powieści Elżbiety Cichli-Czarniawskiej wiele miejsc, kiedy opowieść o życiu bohaterek przechodzi w ton uogólnionych rozważań egzystencjonalnych czy eschatologicznych. Co kilka stron spotyka się myśli uniwersalne o śmierci, o tym, że „człowiekiem nie rządzi przypadek, lecz wybór", o miłości i kruchości wszelkich ludzkich wspólnot i sojuszy, o stałej potrzebie i konieczności zachowywania „postawy wyprostowanej". I stąd opowieść posiada formę nie tylko powieściową, w wielu miejscach przechodzi w rodzaj filozoficznej eseistyki.

Elżbieta Cichla-Czarniawska: Wiosna, Emilio. „Iskry", Warszawa 1985.

Dydaktyka w literaturze

KSIĄŻKI dla młodzieży miewają u nas zawsze charakter dydaktyczny. To, oczywiście, dobrze, tylko że nie byłoby przecież wcale sprawą niedorzeczną, gdyby niosły inne jeszcze wartości, na przykład estetyczne, ale to nie zdarza się wcale często. Przesadny dydaktyzm i wynikające z tego naiwne przedstawianie świata nie może przecież służyć żadnym celom i wartościom. A już na pewno trudno tym pozyskać młodego czytelnika, wyjątkowo przecież wyczulonego na wszelkie pozy i fałsze.

Zniekształcony i fałszywy zapis świata pojawia się może najczęściej w literaturze młodzieżowej, która próbuje zabierać głos o problematyce i tematach wojennnych. Obejrzałam w życiu wiele filmów i przeczytałam sporo książek tzw. młodzieżowych o tematyce wojennej, w których świat był śmiesznie podzielony na białe i czarne, i ludzie również w takich „kolorach". A przecież świat młodocianych bohaterów zafascynowanych wojną, dla których cała ta heca ze Szwabami jest cudowną zabawą, pobrzmiewa jedynie fałszem i budzi lekceważenie. Bo kiedy czyta się wojenne wspomnienia, pamiętniki i zapiski z tych lat, kiedy patrzy się na tamte zdarzenia zapisane na płótnie albo w kamieniu, choćby na pomnik Małego Powstańca na warszawskiej Starówce, to problem dziecka w czasie wojny rysuje się zupełnie inaczej niż w dziecięcej literaturze.

Nie wiem, dlaczego nasza literatura dla młodego czytelnika trwa najczęściej w niezbyt mądrym przecież przekonaniu, że młodym trzeba opowiadać o wszystkim łatwo, tandetnie, cukierkowato. Nie unika tych potknięć także najnowsza książka Wiktora Zawady „Globus i pałka", na szczęście tylko w początkowych rozdziałach.

Akcja powieści usytuowana została w dniach końca wojny w Zamościu, w chwilach pierwszego zachłystywania się wolnością. Zwyczajnie śmieszą przecież te wylukrowane postaci i dialogi, i to dzielenie świata według takich zasad, że „Szwaby" czy „Szkopy" to wyłącznie głupcy, durnie naiwni, świnie, po których tylko smród został, i dlatego trzeba wietrzyć i szorować szkołę. A kilkunastoletni chłopcy w Zamościu to oczywiście urwisy, których zachwycają nade wszystko zabawy z bronią, są weseli i szczęśliwi, jakby wojna nie zostawiła w ich psychice żadnych śladów. I wreszcie młodociany radziecki żołnierzyk to najlepszy kumpel, doskonały towarzysz, świetny sportowiec, bohater i po prostu anioł w mundurze. A kapitan radziecki to kochany, dobry „wujek", który kocha małego żołnierzyka więcej niż siebie samego, i w ogóle kocha ludzi, jest dla wszystkich miły, serdeczny. A przecież wiadomo, że wojna wyzwalała w ludziach także inne uczucia, nie tylko anielskie. Zresztą może autor ma rację, może jeśli pamięta czas wojny, czy przynajmniej pierwszych dni wolności, wie, że byli tacy ludzie i właśnie rzeczywistość wyglądała tak, jak ją opisuje. Ale są to mimo wszystko wytarte stereotypy, które, jak pomnę, ja sama „przerabiałam" w szkole u progu lat siedemdziesiątych.

Nie chcę, oczywiście, wydawać opinii, że powieść Wiktora Zawady składa się ze stereotypów i nic poza tym. Nie. W trakcie narastania opowieści okazuje się, że cała ta historia o pierwszych chwilach życia w wyzwolonym Zamościu, o początkach powojennego szkolnictwa nie rozwija się w kierunku banału. Może więc to celowy zamysł autorski, żeby wyjść od pokazania stereotypów, a potem prowadzić postaci bohaterów i zdarzenia w stronę indywidualizacji, budowania sytuacji wprawdzie zwyczajnych i powszednich, opisanych po wielekroć w literaturze, ale tutaj obdarzonych jakimś świeżym spojrzeniem i napisanych ładnym językiem? To ważne. Bo przecież istotny cel dydaktyczny, jaki spełniać powinna literatura dla młodzieży, to właśnie uczyć poprawnej polszczyzny. Książka Wiktora Zawady takim celom na pewno służy.

Wiktor Zawada: Globus i pałka. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin, 1985.

Z przeszłości teatralnej Rzeszowa

JERZY Pieśniarowicz, związany przez wiele powojennych lat z Rzeszowem i teatrem rzeszowskim, należał do tych dziwacznych i niecodziennych ludzi, którzy pogrążają się w pracach trudnych, a przy tym powszechnie niezrozumiałych i mało kogo obchodzących; w badaniu i odkrywaniu przeszłości kultury, poszukiwaniu naszych kulturowych korzeni.

Był wieloletnim kierownikiem literackim i reżyserem (1952—1974) rzeszowskiej sceny. Należał do tego „gatunku" ludzi teatru, tego typu literackich kierowników, który dzisiaj właściwie już nie istnieje. Był tłumaczem literatury dramatycznej. Jego przekłady dramaturgii rosyjskiej, radzieckiej, czeskiej i słowackiej służyły nie tylko rzeszowskiemu teatrowi.

Wielką pasję Jerzego Pieśniarowicza stanowiło odkrywanie śladów przeszłości teatralnej Rzeszowa, mało znanej, zapomnianej. Cykle artykułów „Kartki z dziejów teatru" ukazywały się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na łamach „Nowin Tygodnia", „Widnokręgu", „Teatru Ludowego", „Kameny". Znaczna część tekstów i materiałów poświęconych historii rzeszowskiego teatru, zgromadzonych i opracowanych przez Jerzego Pieśniarowicza, znalazła miejsce w pośmiertnej jego książce „Kartki z dziejów rzeszowskiego teatru", Przygotowanej do druku oraz uzupełnionej w zakresie repertuarów i kalendaria przez syna, Krzysztofa Pieśniarowicza.

Tytuł książki jest nazbyt skromny, „kartki" z dziejów teatru to jakby za mało na pojemność tej pokaźnej pracy. Bo książka pokazuje właściwie pewne okresy w dziejach teatru rzeszowskiego (od teatrów magnackich i zakonnych połowy XVII wieku, aż do końca lat trzydziestych naszego stulecia), próbując zdarzenia teatralne, wszystkie lepsze i gorsze lata życia teatru, sytuować na tle życia miasta, regionu, na tle sytuacji społecznej, gospodarczej, a przede wszystkim politycznej. A więc książka poświęcona jest sprawom życia teatralnego w Rzeszowie, w różnych okresach. W wielu miejscach wydaje się oczywiście niedostatecznie jasna, informacje są skąpe, zdawkowe, nie opatrzone żadnym szerszym autorskim komentarzem, jak choćby, te o występach na rzeszowskiej scenie w latach 30-tych Siemaszkowej, której imię nosi ten teatr. Ale są także liczne kartki bogate w rozmaite szczegóły, dokładne informacje, pełne nazwisk, dat i ciekawostek z dziejów dawnego teatru. Nierównomierność książki uzależniona jest pewnie od ilości i jakości materiałów źródłowych, do których autorowi udało się dotrzeć. Szczególnie barwne i interesująco napisane wydają się fragmenty dotyczące teatru w Rzeszowie w końcu XIX i na początku XX wieku, gdzie znalazł swoje miejsce i teatr zawodowy, i rodzący się wówczas, a w Galicji rozwijający się wyjątkowo aktywnie, teatr amatorski. Interesującą działalność prowadziły w Rzeszowie grupy i zespoły teatrów włościańskich, robotniczych i żołnierskich, a szczególnie zaznaczył się teatr szkolny.

Zresztą w oparciu o teatry amatorskie utworzono w Rzeszowie, w 1925 roku, pierwszy stały zespół teatralny „Reduta" (była to instytucja rzeszowska, nie ta założona przez Juliusza Osterwę, jedynie trochę wzorowana na niej), który powstał właściwie dzięki staraniom rzeszowskich nauczycieli. Przedtem docierały do Rzeszowa tylko rozmaite antrepryzy wędrowne. I właśnie materiał dotyczący tych wędrownych zespołów, zamieszczony w książce, jest bogaty i interesujący. Znalazły tu miejsce liczne informacje o sytuacji, warunkach życia i pracy różnych zespołów, o cenach biletów i przeznaczeniu dochodów ze spektakli. Wreszcie — wiadomości o aktorach, antreprenerach i organizatorach życia teatralnego w Rzeszowie. Są tu liczne zestawienia repertuarowe, wykazy sztuk granych w poszczególnych latach, zespołach, jest wreszcie pokazane zainteresowanie i uwaga, jaką poświęcała teatrowi, w różnych jego epokach, prasa.

Książka Jerzego Pieśniarowicza oddaje tzw. tło społeczne i specyficzną atmosferę dawnego teatru na prowincji, z autentyczną publicznością, która miewała swoich ulubieńców wśród aktorów, która łatwo się oburzała i równie łatwo popadała w zachwyt i od której w końcu zależał wówczas byt materialny teatru. Praca ta, opatrzona w cenne aneksy, kalendaria i rzadkie fotografie, skupia ważny materiał źródłowy i może z pewnością służyć w różnych innych przedsięwzięciach, np. w pracach badawczych — nie tylko nad dziejami teatru w Rzeszowie.

Ale poza tym, kiedy czyta się taką książkę, to rodzą się jakieś tęsknoty: za dawnym, starym teatrem, który bywał miejscem silnych wzruszeń i przeżyć, gdzie nie zdarzała się mdła publiczność, której by nic nie oburzało. I chciałoby się przecież za Słonimskim zapytać: „Gdzież się podziały te czasy, kiedy to wygwizdywano aktorów, obrzucano ich jajami, wyprzęgano im konie lub odwrotnie?".

Jerzy Pieśniarowicz: Kartki z dziejów rzeszowskiego teatru. KAW, Rzeszów 1985.

Recenzje: Lidia Wojcik

Genesis i katastrofa

HISTORIA PRAWDZIWA

Roald Dahl

— WSZYSTKO w porządku — mówił doktor. — Proszę położyć się i odprężyć. — Jego głos dochodził do niej z oddali i zdawało jej się, że na nią krzyczy.

— Ma pani syna.

— Co?

— Ma pani wspaniałego syna, rozumie pani?! Wspaniałego syna. Słyszała pani, jak płacze?

— Jak on się czuje, doktorze? Czy wszystko w porządku?

— Oczywiście, że tak.

— Niech go zobaczę.

— Zobaczy go pani za moment.

— Czy jest pan pewien, że on czuje się dobrze?

— Całkowicie pewien.

— Czy wciąż płacze?

— Niech pani spróbuje odpocząć. Nie ma żadnych powodów do obaw.

— Czemu on przestał płakać, doktorze? Co się stało?

— Niech pani się uspokoi, wszystko jest dobrze.

— Chcę go zobaczyć. Proszę mi pozwolić.

— Droga pani — powiedział doktor, poklepując delikatnie jej dłoń. — Ma pani wspaniałe, silne, zdrowe dziecko. Nie wierzy mi pani, gdy to mówię?

— Co tamta kobieta z nim robi?

— Upiększamy je dla pani — powiedział doktor. — Myjemy go trochę. To wszystko. Musi nam pani dać na to trochę czasu.

— Czy przysięga pan, że z nim jest wszystko w porządku?

— Przysięgam. A teraz niech pani się położy i odpręży. Proszę zamknąć oczy. No, niech pani zamknie oczy. O, tak. Teraz lepiej. Dobrze.

— Wciąż modliłam się i modliłam, żeby ono żyło, doktorze.

— Oczywiście, że będzie żyło. O czym pani mówi?

— Inne nie wyżyły.

— Co?

— Żadne z moich dzieci już nie żyje, doktorze.

Doktor stanął obok łóżka, patrząc na bladą, zmęczoną twarz młodej kobiety. Nie widział jej nigdy przedtem. Aż do dzisiaj. Jej mąż i ona byli nowymi ludźmi w miasteczku. Karczmarka, która przyszła pomagać przy porodzie, powiedziała, że mąż tej kobiety pracuje w lokalnej komorze celnej na granicy i że tych dwoje przybyło zupełnie niespodzianie, z jednym kufrem i jedną walizką, jakieś trzy miesiące temu. Mąż był pijaczyną, mówiła karczmarka, małym tyranizującym otoczenie, zadziornym pijakiem, ale kobieta była łagodna i religijna. I bardzo smutna. Nigdy się nie uśmiechała. Przez te parę tygodni, gdy tu była, karczmarka ani razu nie widziała jej uśmiechu. Chodziły także słuchy, że było to trzecie małżeństwo jej męża; że jedna żona zmarła, a druga rozwiodła się z nim z nie wyjaśnionych przyczyn. Ale były to tylko plotki.

Doktor pochylił się i podciągnął prześcieradło wyżej na piersiach pacjentki.

— Nie ma pani powodów do niepokoju — powiedział delikatnie. — To całkiem normalne dziecko.

— Tak właśnie mówili mi i o tamtych. Ale straciłam je wszystkie, doktorze. Przez ostatnie osiemnaście miesięcy straciłam troje moich dzieci, więc nie może mnie pan winić za niepokój.

— Troje?

— To moje czwarte... w ciągu czterech lat.

Doktor przestępował teraz nerwowo z nogi na nogę.

— Myślę, że pan nie wie, co to znaczy stracić je wszystkie, wszystkie troje, powoli, osobno, jedno po drugim. Wciąż je widzę. Widzę teraz twarz Gustawa tak wyraźnie, jakby leżał obok mnie. Gustaw był ślicznym chłopcem, doktorze. Ale wciąż chorował. To okropne, kiedy one ciągle chorują i nic nie można zrobić, by im pomóc.

— Wiem.

Kobieta otworzyła oczy, popatrzyła na lekarza przez kilka chwil, a potem znów je zamknęła.

— Moja mała dziewczynka Ida zmarła na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. To zaledwie cztery miesiące temu. Żeby pan widział Idę, doktorze!

— Ma pani teraz nowe.

— Ale Ida była taka śliczna.

— Tak — powiedział doktor. — Wiem.

— Jak może pan wiedzieć?! — zawołała.

— Jestem pewien, że była ślicznym dzieckiem. Ale to nowe jest także piękne.

Doktor odwrócił się od łóżka, przeszedł wolno przez pokój i stanął przy oknie. Było wilgotne, szare, kwietniowe popołudnie i ponad ulicą mógł zobaczyć czerwone dachy domów i ogromne krople deszczu rozpryskujące się o dachówkę.

— Ida miała dwa lata, doktorze, i była taka śliczna, że nie mogłam oderwać od niej oczu, od chwili, gdy ubrałam ją rano, aż do wieczora, gdy była już bezpieczna w swoim łóżku. Żyłam w świętym przerażeniu, że coś przydarzy się temu dziecku. Gustaw odszedł i mój mały Otto także odszedł, więc ona była wszystkim, co mi pozostało. Budziłam się nocami, skradałam do kołyski i przykładam ucho do jej ust, by upewnić się, że oddycha.

— Niech pani spróbuje odpocząć.

Twarz kobiety była blada i bezkrwista, a wokół nosa i ust przybrała delikatny, niebieskoszary odcień. Kosmyki wilgotnych włosów przykleiły się do jej czoła.

— Kiedy umarła, byłam znowu w ciąży. To nowe miało już dobre parę miesięcy, kiedy umarła Ida. „Nie chcę go" — krzyczałam po pogrzebie. „Nie urodzę go! Pochowałam już dość dzieci!" A mój mąż... spacerował między gośćmi z wielką szklanką piwa w ręku, potem nagle odwrócił się szybko i powiedział: „Mam dla ciebie nowinę, Klaro, dobrą nowinę". Wyobraża pan to sobie, doktorze? Właśnie pochowaliśmy nasze trzecie dziecko, a on stoi ze szklanicą piwa i mówi mi, że ma dobrą nowinę. „Dzisiaj dostałem przeniesienie do Braunau — mówi — więc możesz zaraz zacząć się pakować. To będzie nowy start dla ciebie, Klaro. To będzie nowe miejsce i będziesz mogła mieć nowego lekarza..."

— Proszę, niech pani przestanie.

— Pan jest nowym lekarzem, prawda, doktorze?

— To prawda.

— I jesteśmy w Braunau?

— Tak.

— Boję się.

— Niech pani spróbuje się nie bać.

— Jaką szansę ma teraz to czwarte?

— Musi pani przestać o tym myśleć.

— Nie mogę. Jestem pewna, że jest coś dziedzicznego, co powoduje, że moje dzieci tak umierają. To musi być coś takiego.

— To nonsens.

— Czy wie pan, co mój mąż powiedział, kiedy urodził się Otto? Wszedł do pokoju dzieci, zajrzał do kołyski i rzekł: „Czemu wszystkie moje dzieci muszą być takie małe i słabe?".

— Jestem pewien, że nie powiedział tego.

— Włożył głowę do kołyski Otta, jak gdyby badał małego owada, i powiedział: „Dlaczego nasze dzieci nie mogą być lepszymi okazami? Tylko o to mi chodzi". A w trzy dni po tym Otto już nie żył. Ochrzciliśmy go szybko trzeciego dnia, a zmarł tego samego wieczoru. A potem zmarł Gustaw. A potem Ida. Wszystkie odeszły, doktorze... i nagle cały dom opustoszał.

— Niech pani nie myśli teraz o tym.

— A czy to też jest takie małe?

— To jest normalne dziecko.

— Ale czy jest małe?

— Jest może trochę małe. Ale małe dzieci są często silniejsze od dużych. Niech pani pomyśli, frau Hitler, o tej porze w przyszłym roku będzie się uczył chodzić. Czy to nie wspaniałe?

Nie odpowiedziała.

— A za dwa lata będzie gaworzył i doprowadzał panią do rozpaczy swoim gadulstwem. Czy już ustaliliście dla niego imię?

— Imię?

— Tak.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Myślę, że mąż chciał, żeby chłopiec miał na imię Adolfus.

— To znaczy, że miałby na imię Adolf?

— Tak. Mężowi podoba się Adolf, bo jest trochę zbliżone do Alois. Alois to mój mąż.

— Świetnie.

— Och, nie! — krzyknęła, podrywając nagle głowę z poduszki.

— O to samo mnie pytali, kiedy urodził się Otto! To znaczy, że ono umrze! Musicie ochrzcić go natychmiast.

— No, no — powidział doktor, biorąc ją delikatnie za ramiona. — Myli się pani. Przyrzekam, że nie ma pani racji. Po prostu zabawiłem się w starego dociekliwca. To wszystko. Uwielbiam rozmowy na temat imion. Myślę, że Adolfus to szczególnie piękne imię. Jedno z moich ulubionych. A teraz niech pani patrzy, oto on.

Żona karczmarza, trzymając dziecko wysoko na swoim ogromnym łonie, sunęła przez pokój w kierunku łóżka.

— Oto mała piękność — wykrzykiwała, promieniując. — Czy zechciałaby go pani potrzymać, moja droga? Czy położyć go tu obok?

— Czy dobrze go pani owinęła? — zapytał lekarz. — Tutaj jest wyjątkowo chłodno.

— Oczywiście, że tak.

Niemowlę było ciasno opatulone w biały wełniany szal, spod którego wystawała tylko mała różowa główka. Karczmarka ułożyła je ostrożnie na łóżku obok matki.

— O tak — powiedziała. — Teraz może pani leżeć i cieszyć się nim do woli.

— Myślę, że polubi go pani — powiedział doktor z uśmiechem.

— To piękne dziecko.

— Ma cudowne rączki! — wykrzyknęła karczmarka. — Takie długie, delikatne paluszki!

Matka leżała bez ruchu. Nie zwróciła nawet głowy w stronę dziecka.

— No, kochaneńka! — zawołała karczmarka. — No, śmiało, przecież nie ugryzie pani.

— Tak bardzo boję się spojrzeć. Nie mogę uwierzyć, że mam znowu dziecko i że ono czuje się dobrze.

— Niech pani nie będzie niemądra.

Wolno matka odwróciła głowę i popatrzyła na małą, dziwnie spokojną twarz, która leżała na poduszce obok niej.

— Czy to moje dziecko?

— Oczywiście.

— O... o..., ależ on jest cudny.

Doktor odwrócił się, podszedł do stołu i zaczął pakować narzędzia do skórzanej torby. Matka leżała na łóżku, wpatrując się w dziecko, uśmiechając się, dotykając go i mrucząc z zadowoleniem. „Cześć Adolfie — szeptała. — Cześć mój mały Adolfku..."

— Szsz! Niech pani słucha. Myślę, że nadchodzi pani mąż — wyszeptała karczmarka.

Doktor podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz.

— Herr Hitler!

— Tak.

— Proszę wejść.

Niski mężczyzna w ciemnozielonym uniformie wszedł miękko od pokoju i rozejrzał się.

— Gratulacje — powiedział doktor. — Ma pan syna.

Mężczyzna nosił ogromne, starannie wypielęgnowane baki w stylu cesarza Franciszka Józefa i pachniał mocno piwem.

— Syna? Jak on się czuje?

— Świetnie. I pańska żona także.

— Dobrze.

Ojciec odwrócił się i podszedł dziwnym, drobnym, nerwowym krokiem do łóżka, na którym leżała jego żona.

— No, Klaro — powiedział, uśmiechając się poprzez zachodzące na usta bakobrody. — Jak poszło?

Pochylił się, by przyjrzeć się dziecku. Potem pochylił się jeszcze niżej. Kilkoma szybkimi, nerwowymi ruchami pochylał się coraz niżej, dopóki jego twarz nie znalazła się w odległości kilku cali od głowy dziecka. Kobieta leżała na boku, wpatrując się w niego z błagalnym wyrazem twarzy.

— Ma najwspanialsze płuca na świecie — oznajmiła karczmarka. — Trzeba było go słyszeć zaraz po tym, jak przyszedł na świat.

— Ależ na Boga, Klaro...

— Słucham, kochanie...

— Ten jest nawet mniejszy niż Otto!

Doktor posunął się szybko naprzód.

— To dziecko jest najzupełniej normalne — powiedział.

Mężczyzna wyprostował się wolno, odwrócił od łóżka i popatrzył na lekarza. Zdawał się być oszołomiony i dotknięty.

— To nieładnie kłamać, doktorze — powiedział. — Wiem, co to znaczy. To znaczy, że w kółko będzie to samo.

— Niech pan mnie posłucha, panie Hitler — powiedział lekarz.

— A czy pan wie, co stało się z tamtymi, doktorze?

— Musi pan zapomnieć o tamtych, panie Hitler. Niech pan da temu szansę.

— Takiemu małemu i słabemu?

— Mój drogi panie, przecież on się przed chwilą urodził.

— Mimo to...

— Co pan chce zrobić?! — wykrzyknęła karczmarka. — Wykrakać jego śmierć?

— Dosyć! — powiedział lekarz ostro.

Matka płakała teraz. Wielkie szlochanie wstrząsnęło całym jej ciałem.

Doktor podszedł do mężczyzny i położył mu rękę na ramieniu.

— Niech pan będzie dla niej dobry — wyszeptał. — Proszę. To bardzo ważne.

Potem uścisnął jego ramię mocno i zaczął popychać go ukradkiem w stronę łóżka. Mężczyzna zawahał się. Doktor ścisnął mocniej, dając mu nerwowe znaki palcami. W końcu, niechętnie, mężczyzna pochylił się i pocałował lekko policzek żony.

— No, dobrze, Klaro — powiedział. — No, przestań płakać.

— Tak bardzo się modliłam, by on żył. Aloisie.

— Tak.

— Dzień w dzień, od miesięcy chodziłam do kościoła i błagałam Boga na kolanach, by temu jednemu pozwolił żyć.

— Tak, Klaro, wiem.

— Troje zmarłych dzieci, to wszystko, co mogę znieść, nie rozumiesz tego?

— Oczywiście.

— On musi żyć, Alois. Musi... musi... O, Boże, bądź dla niego łaskawy.

Tłumaczył: **Wiesław Horabik**

Roald Dahl urodził się w Liandaff w południowej Walii w 1916 roku. W młodości pracował w Towarzystwie Naftowym Shell Company w Londynie, uczestniczył w badaniach przyrodniczych na Nowej Funlandii. W okresie II wojny światowej walczył jako pilot RAF w Afryce. Był ciężko ranny. Po wojnie zamieszkał w Stanach Zjednoczonych i tu zaczął pisać opowiadania. Jego niezwykle krótkie utwory zyskały sobie ogromną popularność. Zostały przetłumaczone na piętnaście języków. Przy pisaniu „Genesis i katastrofy" jak twierdzi, oparł się na spisanych relacjach naocznych świadków narodzin Adolfa Hitlera. Opowiadanie pochodzi ze zbioru pt. „Kiss, kiss" („Pocałunek, pocałunek").

Kajet literacki

Cyganeria

DEMOKRYT uważał poetów za wariatów, których to, podobnie jak i lunatyków, cechuje szał Diany, bogini księżyca. Pewien współczesny liryk najwidoczniej wziął sobie te słowa do serca, bo kiedyś potłukł mi wszystkie szklanki. Siedziałem zmartwiony, jak na filistra przystało, ponieważ wtedy szklanki kupowało się spod lady. Wolałem już wizyty pewnego prozaicznego drania, który tylko gryzł szklanki.

Horacy krytykował poglądy Demokryta w słynnym „Liście do Pizonów": „Ponieważ Demokryt usunął z Helikonu poetów przy zdrowych zmysłach, niemała część literatów nie dba o obcinanie paznokci i brody, szuka samotnych miejsc, unika łaźni".

W starożytności literatów nie rozpieszczano. Sława była sprawą wątpliwą, pieniądze marne. Już Tacyt pisze, że mówcy towarzyszy tłum pochlebców, tymczasem poeta „muci prosić i zabiegać, aby znaleźć takich, którzy by raczyli odczytu posłuchać; a i ten nawet nie jest wolny od kosztów, bo i dom trzeba wynająć i salę wykładową urządzić, i stołki wypożyczyć, i programy rozdać... Dodaj do tego fakt, że poeci, o ile tylko chcą dokonać i stworzyć coś godnego swego imienia, muszą zaniechać obcowania z przyjaciółmi i przyjemnostek stolicy, muszą się wyrzec wszystkich innych obowiązków i — jak sami powiadają — usunąć się w lasy i gaje, to jest w samotność".

Nie wszyscy poeci są tacy ambitni. Ten liryk, który potłukł mi szklanki, twierdzi, że pisanie wierszy nie jest najważniejsze. Przede wszystkim trzeba prowokować poczciwych sąsiadów, którzy wciąż pucują swoje samochody.

Niektórzy mówią, że działanie bohemy ogranicza się do chlania wódy. W ten sposób każda geesowska mordownia jest ośrodkiem kultury. Inni znowu powiadają, że krzykliwe maniery dawniej cyganerii przejęła tak zwana moda młodzieżowa. Teraz tłumy młodziutkich filistrów chodzą sobie i prowokują ubiorem, poglądami, uczesaniem. Ale to są pozory, bowiem młody mydłek nikogo poważnego sprowokować nie może.

Czy to wszystko ma doprowadzić do tego, że współczesną bohemę powinni tworzyć panowie w tużurkach i białych rękawiczkach? Nie jest tak źle, zawsze się znajdzie przynajmniej jeden autentyczny poeta z autentycznie słabymi nerwami. Ma on jednak ciężkie życie, bo tak zwani filistrzy wcale mu się tak łatwo nie dają robić w bambuko. Spróbujcie komuś zaimponować w melinie, gdzie przecież nigdy nie ma doborowego towarzystwa. Seks i drażliwe tematy nie szokują już nawet dewotek. A prowokacji formalnych jest w sztuce tyle, że najbardziej prowokuje ten, co o tym zapomina. Nie ma dziś wykwintnych salonów. Poeta przeklęty może sobie męczyć najwyżej własną rodzinę.

Ideologia cyganerii wiąże się z koncepcją, że sztuka jest zaprzeczeniem i przeciwieństwem życia — jak słusznie zauważył Musil. Zatem nie krytykujmy tak bardzo artystycznych Cyganów, bo ich po prostu prawie już nie ma. Wszyscy artyści są bardzo prozaiczni i tylko wciąż myślą o tym, co by tu sobie załatwić, ułatwić, zaklepać...

Janusz Olczak

Ekran i widz

„Rosebud" znaczy „Różyczka"

W ZIMNY październikowy wieczór dziennik radiowy podał zwięzłą wiadomość: „W wieku siedemdziesięciu lat zmarł w Stanach Zjednoczonych jeden z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego kina — Orson Welles; śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych".

Ta „naturalna" śmierć wydała mi się jakimś nienaturalnym zgrzytem. Zupełnie zaskakującym akordem, zamykającym burzliwe, niezwykle, pełne skrajności, życie człowieka, który od dziesięcioleci egzystował jako wprawdzie wciąż żywa i wielka, ale zarazem tragiczna legenda. Umierał w osamotnieniu. Wypalony od dawna twórca, o którym przed laty prasa pisała jako o „geniuszu kina"... I przypominał tą swoją śmiercią w opustoszałym gmachu własnej wielkości — prasowego multimilionera Charlesa Fostera Kane, którego kiedyś, w młodości, sam wymyślił i którego postać zagrał w swym debiutanckim, a zarazem najlepszym filmie, „Obywatel Kane".

Czy także, jak kiedyś Kane, wyszeptał teraz to ostatnie, tajemnicze słowo, które po dziś dzień nie daje spokoju badaczom sztuki filmowej: „Rosebud" — „Różyczka"?...

„Obywatel Kane" powstał w 1941 r. Był dziełem „dojrzałego twórcy", operował zupełnie nowym, rewolucyjnym językiem filmowej narracji, sięgał po nieznane dotąd zabiegi formalne, zgłębiał socjo- i psychologiczne motywacje działalności głównego bohatera. Słowem — dokonywał artystycznego „przewrotu" w egzystującym od dziesięciu lat kinie dźwiękowym. A przy tym wszystkim reżyser „Obywatela Kane" miał zaledwie... dwadzieścia sześć lat! I tak jak Kane, którego prototyp upatrywano w postaci znanego ówczesnego potentata prasowego Hearsta, zawdzięczał Orson Welles wszystko własnej pracy i własnym nieprzeciętnym zdolnościom. Obaj: i on, i Kane, byli personifikacjami najmodniejszego amerykańskiego mitu: self-made mana.

Welles nigdzie nie uczył się robienia filmów. Tak jak przedtem w żadnej szkole nie uczył się „roboty" radiowej, co zupełnie nie przeszkodziło mu w zrobieniu w 1938 r. genialnego słuchowiska na podstawie „Wojny światów" H. G. Wellsa, które zyskało światowy rozgłos. Nie uczęszczał także Welles do żadnej szkoły teatralnej, a mimo to od szesnastego roku życia grywał w teatrach profesjonalnych. Urodził się jako „genialne dziecko", dziecko przedwcześnie dojrzałe i rozwinięte umysłowo na skalę wręcz przerażającą.

Urodzony w 1915 r. w Kenosha, w stanie Wisconsin, był synem pianistki oraz biznesmena, lecz zarazem wynalazcy, podróżnika i... chętnie obracającego się w artystycznym świecie bon-vivanta. Już w wieku dwóch lat Orson Welles malował i rzeźbił. Wkrótce potem, nauczywszy się czytać, wziął się za... dzieła Szekspira. Znał Ravela i Strawińskiego, i jako pięcioletni chłopiec dyskutował z nimi na temat muzyki. Pasjonował się teatrem. Jako ośmioletni chłopiec napisał... „Powszechną historię dramatu". Jako dziesięcioletni — grywał poważne role teatralne. Będąc jeszcze uczniem, zaczął reżyserować w szkolnym teatrze sztuki, głównie szekspirowskie. Po skończeniu szkoły średniej po prostu opuścił dom rodzinny, wsiadł na statek i wylądował w Irlandii. A tam, w Dublinie, poszedł do dyrekcji teatru, przedstawił się jako znany aktor amerykański i... został bez wahania przyjęty do zespołu! Wróciwszy po kilku latach do Stanów Zjednoczonych, został bez większego trudu zaakceptowany jako renomowany aktor „europejski" oraz takiż reżyser teatralny. Dysponując wspaniałym, „wyrazistym" głosem, łatwo trafił do radia, przeżywającego dynamiczny rozwój. I wówczas właśnie dokonał jednego ze swoich największych życiowych bluffów: jego słuchowisko „Wojna światów" było tak wyreżyserowane, że miliony Amerykanów uległy panice, uwierzywszy, że istotnie w Stanach Zjednoczonych wylądowali Marsjanie! To ciągłe, całożyciowe bluffowanie Wellesa podkreśla w swym szkicu o nim Aleksander Jackiewicz i cytuje znamienne zdanie słynnego reżysera: „Stałem się znany dzięki oszustwu".

Po realizacji „Obywatela Kane" Orson Welles nakręcił w 1942 r. „Wspaniałość Ambersonów", film ciekawy w założeniu, o upadku starej ziemiańskiej rodziny amerykańskiej i klęsce dawnych tradycji w konfrontacji z wszechobecną, zwycięską industrializacją. Ale był to film źle zmontowany i nadmiernie „okrojony" przez producenta. To było pierwsze potknięcie Wellesa. W dodatku Stany Zjednoczone znalazły się właśnie w stanie wojny z Japonią, a potem także z Niemcami, i przemysł filmowy nastawiał się na masową produkcję filmów „wojennych" lub patriotycznych melodramatów. Dla „wielkiej sztuki", dla tak zwanego „ambitnego kina", nie było czasu ani pieniędzy, ani miejsca. Dopiero w 1946 r. mógł Welles zrealizować swój film kolejny — „Intruza".

Było następnie w życiu Wellesa jeszcze kilkanaście wyreżyserowanych przez niego filmów, w tym najciekawsze — realizacje szekspirowskie („Makbet", „Otello", „Falstaff"). Była interesująca ekranowa wersja „Procesu" Kafki. I wciąż przerywana realizacja „Don Kichota", filmu, mającego być — według przekonania reżysera — zwieńczeniem jego filmowych doświadczeń.

Aby zarobić na życie oraz na realizację swoich kolejnych obrazów, grywał w filmach innych reżyserów jako aktor, nie przebierając zresztą zbytnio w scenariuszach. Z czasem ten przystojny, młody człowiek o ujmującym sposobie bycia, fascynującym głosie i przeszywającym spojrzeniu, roztył się do granic karykaturalnych, a jego zachowanie było obliczone na nieustanne epatowanie. „Widziałem go w tamtym czasie w Cannes — pisze Aleksander Jackiewicz. — [...] Wielki, brzuchaty, z grubym cygarem w zębach, stał pośrodku bulwaru Croisette, otoczony przez dziennikarzy, fotoreporterów i „wiernych" (do tych ostatnich należeli m. in. młodzi reżyserzy francuskiej »nowej fali«). Podobno wypalał w tamtym czasie ileś cygar dziennie, zapijał się koniakiem i winem. To było widać: czerwony, nalany, podekscytowany. Pracował przy tym — powiadają biografowie — za trzech".

My w Polsce ostatni raz oglądaliśmy Orsona Wellesa w jugosłowiańskim „partyzanckim" filmie „Sutjeska" oraz w angielskiej „Wyspie skarbów" Johna Hougha z 1971 r. Welles napisał scenariusz do tego filmu i grał w nim słynną postać pirata Johna Silvera. Ale ani film, ani ta rola nie należały do wyróżniających się osiągnięć artystycznych.

Całe życie po „Obywatelu Kane" było usiłowaniem Orsona Wellesa, aby powtórzyć tamten młodzieńczy sukces. Próby te pozostały jednak bez skutku.

Według André Bazina, tajemnicze słowo „Różyczka", padające z ust umierającego Kane'a, oraz kończąca film przebitka na płonące dziecinne saneczki bohatera filmu, opatrzone takim samym napisem, mogą oznaczać „melancholijne stwierdzenie, że zdobycie świata nie ma żadnej wartości, jeśli ceną jest utrata własnego dzieciństwa". To — oczywiście — tylko jedna z interpretacji przesłania „Obywatela Kane".

Ale warto też w tym miejscu zdać sobie sprawę z faktu, że sam Orson Welles był w jeszcze gorszej sytuacji niż jego bohater. On nie mógł nawet żałować utraconego dzieciństwa. On tego dzieciństwa nigdy nie miał. Urodził się jako „cudowne dziecko", jako wyrastający wysoko ponad własne dziecięce środowisko „geniusz".

Ten wybitny artysta nigdy nie miał normalnego dzieciństwa. I to właśnie zaważyło, w sposób tragiczny, na całym jego życiu.

M.D.

Dymisja marszałka Śmigłego

Dokończenie ze str. 5

wysłany porwanym w Rumunii polskim samolotem do broniącej się Warszawy, celem założenia w okupowanym kraju podziemnej organizacji na kształt niegdysiejszej POW. Galinat dotarł do Warszawy tuż przed jej poddaniem się, ale generał Rómmel nie uznał jego kandydatury i wskazał na osobę gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego. Później kurierem marszałka do władz Służby Zwycięstwu Polski był płk Sosabowski...

Po rezygnacji Ignacego Mościckiego z urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej i wyznaczeniu przezeń swoim następcą Władysława Raczkiewicza, marszałek Rydz-Śmigły wystosował do niego list gratulacyjny. Pismo było datowane w Craiovej 1 października 1939 r., „dyplomatyczne", z gatunku ostrożnie „badających teren". Wybrał się z nim, z Rumunii do Francji, jeden z najbardziej oddanych marszałkowi ludzi, Julian Piasecki, były wiceminister komunikacji i wiceprezes OZON, absolwent Politechniki Warszawskiej, a następnie Wyższej Szkoły Wojennej, inżynier oraz major dyplomowany, uczestnik I powstania śląskiego i wojny 1920 r. Piasecki dotarł do Paryża w pierwszych dniach października i, stawiwszy się u prezydenta Raczkiewicza, wręczył mu korespondencję Śmigłego. List brzmiał:

„Panie Prezydencie! Bardzo rad jestem, że właśnie na Pana spadł ciężki obowiązek. Ograniczam się do gorących życzeń, prosząc o przyjęcie oddawcy tego listu, Piaseckiego, który opowie o sytuacji tutaj. Pamiętajcie o wojsku tutaj i na Węgrzech. Przesyłam serdeczne pozdrowienia. — Śmigły-Rydz".

Raczkiewicz w rozmowie z Piaseckim podjął problem konieczności zrzeczenia się Edwarda Rydza-Śmigłego z funkcji Naczelnego Wodza. Argumentował taktownie, że Śmigły, będąc internowany, nie może wszak dowodzić wojskiem. Nie wspominał już o utracie zaufania oraz o panujących opiniach na temat marszałka. Nie takiej zapewne rozmowy spodziewał się Julian Piasecki, który wybrał się zaraz z powrotem do Rumunii, aby zdać relację ze swojej misji.

Po dziesięciu dniach major Piasecki znów pojawił się w Paryżu, ale rezygnacji Śmigłego ze sobą nie przywiózł. Tym razem więc prezydent Raczkiewicz natarł już całkiem zdecydowanie:

„Panie Marszałku! Sprawa, w której do Pana piszę, jest dla mnie tak ciężką, że kiedy dwa tygodnie temu nadarzyła mi się możliwość porozumienia z Panem za pośrednictwem wiceministra Piaseckiego, który przybył do mnie jako człowiek Pańskiego zaufania, skorzystałem z niej niezwłocznie, starając się, ażeby sytuacja, tak, jak ja ją widzę, i wnioski, które z niej wyciągam, dotarły do Pana w postaci jak najjaśniejszej. Złożony ciężką chorobą, nie miałem dotąd możliwości przyjęcia Pana Piaseckiego po jego powrocie, rozumiem jednak, że nie przywiózł on ze sobą decyzji Pana Marszałka, której potrzeba staje się z dnia na dzień coraz bardziej imperatywna. To skłania mnie do opisania Panu sytuacji, której niezwłoczne wyjaśnienie leży, moim zdaniem, zarówno w interesie publicznym, jak i osoby Pana Marszałka.

Przedstawia się ona następująco: reakcja opinii publicznej polskiej, zwłaszcza tutaj i w ogóle na obczyźnie, nie wyłączając Polonii amerykańskiej, jest tego rodzaju, że ustąpienie Naczelnego Wodza, który znalazł się w tych samych warunkach, jakie skłoniły Prezydenta Mościckiego i Jego ostatni rząd do rezygnacji, względnie dymisji — uważane jest powszechnie za rzecz konieczną.

Na tle tej reakcji obecny rząd Rzplitej jest zdania, że nie można zwlekać z załatwieniem tej sprawy. W tym stanie rzeczy, jakkolwiek tak bardzo pragnąłbym móc załatwić ją na zasadzie własnej decyzji Pana Marszałka — nie mniej uważam działanie ze swej strony za konieczne już w najbliższych

Okolice sztuki

„Wszak mamy socjalizm!"

NIE o to chodzi, ale od tego zacznę, że trzy lata temu opublikowałem w „Kamenie" wywiad z Tadeuszem Mysłowskim, przeprowadzony w restauracji lubelskiego hotelu „Victoria", gdzie rozmowa kleiła się nam całkiem dobrze, choć nowojorski artysta rodem z Lubelszczyzny raczej stroni od alkoholu i nie obżera się, nie pali papierosów i w ogóle nosi w sobie platońskie ideały człowieka integralnego, po równi dbającego o duszę i ciało. Jedliśmy schabowe z kapustą.

Z rozmowy wynikało, że w Ameryce trudno być cenionym artystą, jeśli nie ma się nazwiska, którego zdobycie jest jeszcze trudniejsze. Mysłowski przedstawił się jako człowiek uparty, cierpliwy i zdecydowany na ponoszenie wszelkich trudów. Zdawał się być realistycznym optymistą, choć jego żona, Irena Hochman, pochodziła z Lublina, a nie z Rockefellerów, zaś jej brat Michał grał kiedyś na gitarze i śpiewał w „Norze", by w końcu również osiąść za oceanem, gdzie nie straszą żadne chochoły czy strzechy, tylko gangsterzy, a władze lokalne, stanowe i federalne bardzo oszczędnie subwencjonują działalność kulturalną, twórców ludowych, zawodowych, artystów profesjonalnych czy towarzystwa regionalne, co u nas jest nie do pomyślenia. Popiliśmy mineralną ze źródła „Miłość".

Mysłowski wyjechał. Wkrótce przysłał jedną pocztówkę, drugą, piątą, dziesiątą, dwudziestą... Z biegiem czasu coraz częściej otrzymywałem taką korespondencję, w której pojawiały się też listy, katalogi, wycinki prasowe. Obecnie jestem w posiadaniu imponującej kolekcji widokówek i innych kolorowych obrazków pocztowych, które eksponują m. in.: gejszę na macie, piersiastą panienkę na szezlongu, architekturę Rzymu i Meksyku, grecką wyspę Santorini, rzeźby Fujii Chuichi, motywy z Paryża, Wenecji i Londynu oraz głowę w pióropuszu, przedstawiającą się jako Sioux Chief „American Horse". Prawdziwą wszak perłą tego zbioru jest widoczek Parku Ludowego w Lublinie, przesłany nad Bystrzycę z Nowego Jorku.

Mysłowski lata po świecie i regularnie informuje mnie, co dzieje się właśnie w wielkich galeriach sztuki. Więc ja coś wiem.

Trasy i częstotliwość owych podróży zwiększyły się w roku 1984, ale nie wiem, czy należy to wiązać z faktem otwarcia w tym czasie nowej galerii w Nowym Jorku, której nazwa brzmi: „Carpenter and Hochman". Tak jest: pani Irena Hochman z panią Laurą Carpenter uruchomiły wtedy galerię sztuki — przy 420 West Broadway, a więc w słynnym SoHo, gdzie miesięczny czynsz za taki lokal sięga od kilku do kilkunastu tysięcy dolarów. Sam remont pomieszczenia pochłonął ćwierć miliona. Zresztą obie panie firmują i drugą taką placówkę — w Dallas.

W galerii nowojorskiej prezentowano dotąd m. in. malarstwo Mondriana, rzeźby wspomnianego Chuichi (nie wiadomo, jakim sposobem powyginane przez artystę, są to pnie 150-letnich drzew), a planuje się wystawy Christo, Kienholza, Tinguely'ego, a więc twórców najwybitniejszych w świecie. Naturalnie, w grę tu wchodzą wielkie pieniądze.

Po kilkunastu latach cierpliwego, wspartego na umiejętnościach trudu: obrazy i grafiki Tadeusza trafiły do znanych muzeów amerykańskich, a inwencja Ireny — na West Broadway, gdzie skupiają się czołowe galerie USA. A stało się tak bez dotacji i stypendiów rządowych czy stanowych; bez ulg podatkowych i pożyczek nisko oprocentowanych. No cóż, kapitalizm, konkurencja, wolny rynek...

Nasi artyści też tak by chcieli. Znaczy się, chcieliby otrzymywać wielkie pieniądze, choćby prawie takie, jakie biorą za swoje prace ci zza oceanu, no — zza Łaby. Tam jest dobrze, tam jest fajnie, nic, tylko żyć i malować.

Kiedy jednak reforma gospodarcza nieśmiało zachęca rodaków do samodzielności, inicjatywy, konkurencji, kiedy respektując wreszcie prawa klienta (publiczności) do swobodnego wyboru rzeczy i zjawisk (np. artystycznych), próbuje uruchomić ustrojowo obwarowany wolny ryneczek, to i artyści krzyczą wespół: — Wara! Wszak mamy socjalizm! Tym potężnym argumentem operują publicznie nawet takie osoby, którym prywatnie „socjalizm" wytryska tylko z żółcią. Owszem, formułuje się tezy bardziej wyrafinowane. Oto w pierwszym Informatorze Wojewódzkiej Rady Plastyki w Lublinie stwierdza się: „Nadmierna opiekuńczość Państwa polegająca na »dawaniu«, a nie stwarzaniu warunków do pracy tworzy wtórny prymitywizm twórcy. Następuje degradacja i pauperyzacja artysty plastyka. Tego typu działania odgórne nie budzą zaufania, zaniżają ambicje twórców."

Autorka, która realizując, jak mniemam, ideę wspólnoty w dialogu, łączy unią personalną Przedsiębiorstwo Państwowe „Sztuka Polska" w Lublinie z duszpasterstwem, nie dopowiada jednak — a wie o tym dokładnie! — że artyści skwapliwie akceptują państwowe „darowizny", skutecznie oferując temu mecenasowi malowidła i inne takie, które powinny nosić jeden tytuł: „Kompozycja na wstyd, hańbę i porutę". Czy mam z nazwiska wymienić autorów takich prac, które na tzw. targach sztuki (maj 85) poszły za kilkadziesiąt tysięcy, choć powinny pójść, czy ja wiem — z pielgrzymką pokutną do liceum plastycznego?! A co to znaczy: stwarzanie warunków do pracy? Czy przypadkiem nie pragnienie, by ktoś za nas załatwił wszystko? Prawda, brakuje materiałów i narzędzi plastycznych na rynku, brakuje pracowni. To są bolączki poważne, trudne do rozwiązania w pojedynkę.

To jest ostatnia rzeźba Fujii Chuichi — artysty, który żył 150 lat temu. Drzewo i rzeźba nie zgniły — jedna będzie pokazywała w Zimie i coby katalog pisze.

Największą jednak przeszkodą w rozwoju naszej sztuki były i są rządy przeciętności, która uważa, że wszystkim należy się po równo: stypendiów, powierzchni wystawienniczej, pracowni, miejsca w muzeach. Marząc o luksusach Zachodu, przeciętni nie chcą dostrzec, że partycypują w nich artyści najlepsi, najdzielniejsi, którzy zdystansowali słabszych — i spijają ten miód po walce na wolnym rynku. Ów ślepy egalitaryzm zderza się u nas z reformą, która wprowadzając pewne korekty do mechanizmów gospodarczych we wszystkich dziedzinach życia, wyniosłaby — materialnie i moralnie — artystów wybitnych i popularnych, no tak, ale kosztem miernoty! Więc krzyczy ona: przecie socjalizm!

Owszem, w państwie socjalistycznym kultura była, jest i będzie dotowana. Co nie znaczy, że dystrybucja dóbr w tym obszarze powinna opierać się na zasadzie urawniłowki. W przeciwnym razie nie starczy nam miejsca na magazynowanie owych tysięcy, przykładowo, obrazów, które rokrocznie, bez kulturowych racji kupuje się w Polsce za pieniądze państwa, czyli za nasze pieniądze — bo autor jakiejś tam pracy zachorzał, bo dawno nic nie sprzedał, bo ma kumpla w komisji i wdzięk osobisty, a poza tym dlatego, że administracja musi się wykazać: socjalistycznym sercem. Z takich też chyba powodów utrzymywane są u nas galerie, których prawie nikt nie odwiedza. Ciekawe, jaki byłby ich los, gdyby przeszły na rachunek prywatny, choćby obecnych dyrektorów...

A na koniec to ja tylko zapytam, co się dzieje z bodaj dwudziestoma portretami „Wielkich lublinian", które powstały w ramach głośnej akcji 1983 roku i kosztowały od 40 do 60 tys. zł każdy?

I J K

---

dniach. Gdyby Pan Marszałek zechciał zakomunikować mi ją telegraficznie zaraz po otrzymaniu niniejszego pisma — w każdym razie nie później niż do końca bieżącego miesiąca — byłbyl Panu bardzo wdzięczny. Proszę wierzyć, Panie Marszałku, wyrazom mej najszczerszej życzliwości. — Wł. Raczkiewicz".

List został napisany 19 października. Ale nie powierzono go Julianowi Piaseckiemu Polecenie dostarczenia tego ważnego pisma, oraz — być może — dodatkowego „wpłynięcia" na marszałka, otrzymał człowiek „nowej ekipy", major Zygmunt Borkowski z gabinetu generała Władysława Sikorskiego. Wyruszył on z Paryża 23 października i już po czterech dniach dotarł do aktualnego miejsca pobytu Rydza-Śmigłego — Dragoslavele. Tutaj, w piętrowej willi otoczonej ogrodzeniem z drutu kolczastego i pilnie strzeżonej przez żołnierzy rumuńskich, przebywał Śmigły wraz z grupą najbardziej wiernych mu ludzi, m. in. pułkownikiem Wendą, majorem Krzeczkowskim, podpułkownikiem Cianciarą, inż. Wędzigalskim. Aby wejść do willi, należało otrzymać specjalną przepustkę.

Edward Rydz-Śmigły przyjął mjr. Borkowskiego 27 października o godzinie 13.00. Rozmowa trwała równo trzy kwadranse. Marszałek pytał o szereg spraw natury organizacyjnej, jeśli chodzi o nowy rząd. M. in. także jakie stanowisko objął gen. Sosnkowski i czy gen. Sikorski jest, poza innymi funkcjami, również dowódcą tworzącego się wojska, o obsadę placówek dyplomatycznych, kto objął jakie ministerstwo itp. Jak widać, był mało zorientowany w tym, co się dzieje na świecie, od którego został oddzielony kolczastym płotem.

W godzinę po zakończeniu owej rozmowy Śmigły znowu poprosił do siebie majora Borkowskiego. Wręczył mu zapieczętowaną kopertę, zaadresowaną do prezydenta Raczkiewicza. Mjr Borkowski, zapewne w myśl otrzymanych w Paryżu instrukcji, zapytał, czy będzie także odpowiedź „dla przesłania drogą telegraficzną". „Pan major i osobiście zdąży na termin" — uciął Śmigły, nie bez dozy gorzkiego sarkazmu w głosie.

Już na miejscu, w Paryżu, okazało się, że w kopercie znajdują się dwa listy. Pierwszy — oficjalny:

„Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Wobec tego, że jestem internowany i pozbawiony wolności — składam funkcję Naczelnego Wodza do dyspozycji Pana Prezydenta. — Śmigły-Rydz, Marszałek Polski, Dragoslavele, 27 X 1939".

I list drugi, natury bardziej „prywatnej", dłuższy:

„Panie Prezydencie! Nie chcę, wobec złego stanu zdrowia Pana, listem swoim zabierać dużo czasu. Dlatego streszczam się. Z Piaseckim mówiłem obszerniej, sądząc, że będzie mógł być przyjęty przez Pana Prezydenta. Internowanie moje czyni mnie bezbronnym i wszystkie winy można na mnie zwalać. Daleki jestem od prowadzenia polemiki na temat opinii publicznej i jej żądań. Konstytucyjnie akt mianowania teraz Naczelnego Wodza nie jest konieczny — tym bardziej, że i armia jeszcze nie zorganizowana. Więc chodzi o osądzenie mnie. Nie chciałbym utrudniać Panu sytuacji. Dlatego załączam dokument. Proszę zrobić, Panie Prezydencie, z nim to, co Panu sumienie wskazuje. Proszę o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku. — Śmigły-Rydz, Dragoslavele, 27 X 1939 r.".

List pełen godności i żalu. List człowieka, który jednak niczego nie chciał zrozumieć i do niczego się przyznać.

I jeszcze: 7 listopada 1939 r. prezydent Raczkiewicz wysłał kolejny list do Rydza-Śmigłego. Starał się w nim jakby załagodzić rozgoryczenie byłego Naczelnego Wodza. Ale zarazem dodawał twardo: „Sądzę jednak, że zwolnienie Naczelnego Wodza, w szczególności, gdy składa funkcję, której będąc internowany pełnić nie może — jest aktem, który Jego prawa do obrony na przyszłość w żadnej mierze nie przesądza i nie umniejsza". Przyznając „prawo do obrony", nie wspomniał przecież Raczkiewicz o braku „winy". A może nawet ową winę i problem odpowiedzialności marszałka za nią — w specyficzny sposób podkreślał.

Tak oto zakończyła się korespondencja między Rydzem-Śmigłym a Władysławem Raczkiewiczem, której tylko sam final znalazł swój oficjalny wyraz na łamach „Monitora Polskiego" z 9 listopada 1939 r. Reszta — spoczęła na długie lata w archiwach.

Edward Rydz-Śmigły zdołał w 1940 roku wydostać się z Rumunii i powrócić potajemnie do kraju Jesienią 1941 r. dotarł nawet, całkiem prywatnie, w Warszawie do generała Stefana Roweckiego-Grota, prosząc o „konspiracyjny przydział". Generał „Grot" odmówił zdecydowanie.

Śmigły zmarł w Warszawie 2 grudnia 1941 r. Pochowano go na Powązkach, pod zmienionym imieniem i nazwiskiem.

Mirosław Derecki

Wykorzystaną w artykule korespondencję pomiędzy Rydzem-Śmigłym a prezydentem Raczkiewiczem opublikował po raz pierwszy Władysław Pobóg-Malinowski w prasie emigracyjnej w 1951 r. w obszernym szkicu historycznym pt. „Ostatnie chwile marszałka Śmigłego".

Smak na chłopa

CORAZ częściej jawi się pytanie: czy aby są gdzieś prawdziwi mężczyźni? Pytanie to stawiają zawiedzione kobiety oraz świadomi siebie mężczyźni, którzy w poważnych okolicznościach trafiają na mięczaków, ani partnerów, ani przeciwników, a jedynie radosnych pozorantów.

Przy okazji powstaje i inne pytanie: co znaczy być prawdziwym? Być, jakim Bóg dał, i nic poza tym, czy poprawiać dzieło Stwórcy siłą mózgu i woli? Spotkanie z ideałem zawsze było niedościgłym marzeniem, cóż dopiero bycie ideałem.

Pytanie o prawdziwych mężczyzn jest symptomatyczne, zwłaszcza w obecnych czasach totalnych względności. Mężczyzna, ten zdecydowany i silny, ginie gdzieś w potoku codzienności, a w jego miejsce wyłania się nijaka postać w spodniach. Powszechny zanik pierwiastka męskiego w myśleniu mężczyzn staje się dramatem obu płci, bo nigdy jak teraz nie pragniemy jednoznaczności. Więc krąży po umysłach szanowanego państwa wiele pobożnych życzeń i urojeń, a chłopów nie przybywa.

Na damski rozum biorąc, prawdziwych mężczyzn należałoby szukać tam, gdzie muszą stykać się niemal z nadludzkim wysiłkiem i nieprzewidzianym niebezpieczeństwem. Mężczyzna — a żywioły, to cudowne pole do popisu dla twardych facetów. Naczytaliśmy się o nich u Conrada, który jeszcze spotykał takich, co przechodzili siebie, żeby wymknąć się losowi — i nawet, gdy byli zwyciężeni, nie ulegali. Obecnie żywioły oplątujące mężczyzn są bardziej enigmatyczne i zgoła administracyjne, zaś przy boskiej sztuce konformizmu — waleczne cechy mężczyzn stają się prawie niezauważalne.

Cóż, awanturnik z „Powszechnej" nie zostanie łowcą głów na Borneo, ani przyzwoity wilk morski, który wymknął się ze sztormu na baryłce rumu, nie przyjdzie chwalić się tym do „Nory". Ale jednak żeglarstwo ma swoje męskie wymogi i na przykład wielu panów wsiada na jachty, żeby coś męskiego przećwiczyć na Bałtyku.

Przy pierwszym spojrzeniu na wakacyjnych żeglarzy jest jak w filmie: oni dzielni, morze groźne — nic, tylko podziwiać. Potem okazuje się, że biedacy wymiotowali, a mimo to żeglowali ze smakiem. A potem słuchacz traci smak na wszystko, bo opowieściom o puszczaniu pawi nie ma końca, o niebezpieczeństwach jest niewiele, jedynie o wódeczce — owszem. I to wszystko, z czego głównie sam pobyt na Bałtyku podnosi męski prestiż.

Oczywiście znowu wyłania się dręczące pytanie: czy po to płyną? I więcej niż pewne jest, że zaprzeczą, ponieważ pływa się dla: zapachu i bezmiaru wód, wysiłku przy trudnych manewrach, srebrnej wody pod Borneholmem oraz symbolicznego wiadereczka wódki. Krótko mówiąc, wszystko to jest przyjemnością, która napina pierś panów dobrym samopoczuciem, zanim powrócą do szarzyzny na lądzie — do umykania z własnym zdaniem, pyskowania, gdy przeciwnik daleko, małego cwaniactwa i wielkiego cynizmu. Więc czym jest jacht, jeśli nie ucieczką?

Rys. Antoni Chodorowski

A ucieczka zawsze będzie dowodem słabości, bez względu na to, czy nazywa się żeglarstwem, czy alkoholizmem. Oczywiście można dorobić do jachtingu filozofię, że spotkanie z morzem to oczyszczenie z brudów codzienności, uwznioślenie znękanej zwyczajnością duszy, że morze to pasja i zniewolenie. Wszystko dobrze. Lecz każde wakacje się kończą i ci, którzy popłynęli na morze, żeby pobyć mężczyznami — wracają do tego, co zostawili. Po powrocie mogą być takimi samymi kalekami życiowymi, jak byli, zanim wymyślili rejs. Męskie myślenie nie bierze się z bicepsów, ale z odpowiedzialności, którą między innymi nadwyrężyła emancypacja. Od kiedy kobiety zaczęły być niezależne — powoli zaczęły tracić to, za czym teraz tak gonią i tęsknią. Same zwolniły mężczyzn z myślenia obowiązującego jeszcze pokolenie dziadków. Teraz już tylko brakuje na Bałtyku żeglarek, wypędzających mężczyzn i z tego azylu. Kiedy kobiety poczują potrzebę potwierdzenia swojej męskości, tak jak robią to teraz mężczyźni — świat skończy się ostatecznie.

Anna Bocian

Z BOCZNEJ LOŻY

Lalka czy aktor?

OPOWIEŚĆ jest prosta. Opiera się głównie na kontraście charakterów postaci, jak to zwykle w bajkach bywa, gdzie istnieją tylko dobrzy i źli bohaterowie, i na kontrastowo zestawionej hierarchii wartości: dobro i zło, uczciwość i podstęp. Konstrukcja tej opowieści jest bardziej złożona niż jej temat, jest strukturą wielowymiarową. Próbą pokazania, jak na oczach widzów tworzy się teatr, jak można urządzać teatr dla siebie, czy zabawę w teatr. Wystarczy właściwie włożyć maski, udawać kogoś lub coś i wierzyć, że jest to interesująca zabawa. Tak pomyślana struktura tekstu Edwarda Uspieńskiego i Romana Kaczanowa „Fajtałek i jego przyjaciele" jest oczywiście materiałem na przedstawienie dla dzieci, ale stanowi partyturę dla aktorów, nie dla lalek.

W przedstawieniu wykorzystano tylko jedną lalkę (postać Fajtałka), zresztą znakomitą, która nie jest typem lalki naśladującej, nie jest konstrukcją imitującą cokolwiek. Ona żyje własnym lalkowym życiem, sobie tylko właściwym, bogatszym i pojemniejszym od wszelkiego „naśladowania życia". Pozostałe postaci budowane są przez aktorów żywego planu. Aktorzy są więc zdani wyłącznie na siebie, nie wspierani techniką scenicznego wyposażenia. Łatwo więc dostrzec, ile umieją i jakie są ich słabe strony. Obserwując wszystkie w ostatnim czasie przedstawienia w Teatrze Lalki i Aktora, łatwo wydać opinię że wielu aktorów w tym teatrze doskonale potrafi zaistnieć w tzw. żywym planie, a często nie potrafi udźwignąć zadań, kiedy trzeba budować postać sceniczną za sprawą lalki.

Przedstawienie „Fajtałek i jego przyjaciele" zostało zrealizowane przez kilkuosobowy zespół aktorski który wykazał dużą sprawność w budowaniu, odtwarzaniu i indywidualizowaniu postaci, w wielu przypadkach granych kolejno przez tych samych aktorów. Zresztą wymagała tego sama koncepcja sztuki i przedstawienia.

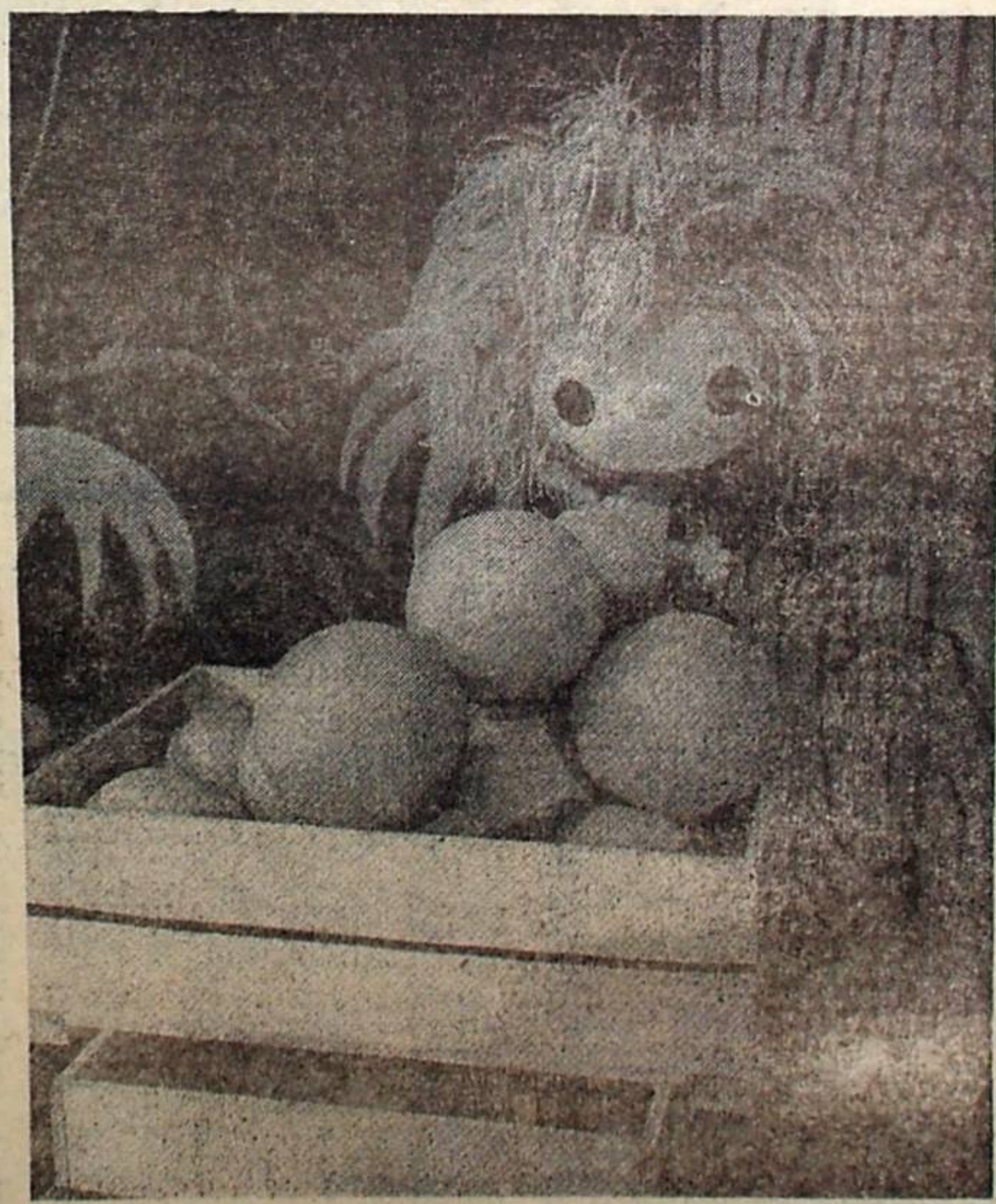

Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

Całą zabawę rozpoczynają dwaj aktorzy [illegible] rolach narratorów-komentatorów [illegible] pojawiający potem także w innych rolach); oni to są łącznikiem wizualnym poszczególnych scen, zmieniają układ dekoracji i przedmiotów na scenie, organizują sytuacje. Cała ta historia o przyjaźni dzieci oraz o przyjaźni pomiędzy dziećmi i zwierzętami przekazana została interesującym językiem scenicznym. Część sytuacji i zdarzeń opowiedziano językiem konstrukcji plastycznych i kolorów. Gama pastelowych kolorów interesuje przede wszystkim szlachetnym tonem i wpisaną w nie bogatą semantyką.

Układy choreograficzne spektaklu ściśle zespolone są z muzyką. Więcej nawet: jakby wynikają z muzyki, z jej rytmu, chwilami pospiesznego, kiedy łączy się np. z bieganiem po scenie, chwilami wyciszonego i powolnego, kiedy towarzyszy słowom o przyjaźni, mówionym albo śpiewanym. Zespół aktorów-lalkarzy, bo takim przecież dysponuje lubelski teatr im. Andersena, porusza się sprawnie i lekko, a śpiewa z dużym wdziękiem i wyrazem. Aktorzy wspierani jedynie nagraniem muzycznego rytmu z taśmy, śpiewają na żywo, z wyjątkowo precyzyjną dykcją, co dotychczas nie bywało w tym teatrze rzeczą wcale częstą. Nie wiem, czy to zasługa reżysera spektaklu, Andrzeja Jóźwickiego, czy może zespół artystyczny Teatru Lalki i Aktora, wzmocniony w tym sezonie — jak wieść niesie — nowymi siłami aktorskimi, jest po prostu bardziej sprawny, więcej potrafi.

Uroda tego przedstawienia wynika na pewno w dużej mierze i z umiejętności aktorskich, i z reżyserskiego pomysłu na całość, i z oprawy plastycznej, ale jest także budowana za sprawą piosenek. Maciej Zembaty jest autorem ich mądrych tekstów, niosących ważne myśli o przyjaźni, potrzebie wspólnot międzyludzkich, tekstów mogących docierać nie tylko do dziecięcej wyobraźni.

Przedstawienie „Fajtałek i jego przyjaciele" spełnia na pewno zasadnicze oczekiwania, jakie kierujemy zwykle w stronę teatru lalkowego. Wychowuje najmłodszych głosząc zza teatralnego parawanu, że przyjaźń i dobro są istotnymi i niezbędnymi wartościami w życiu — prawdy niby znane i powszechnie wiadome, ale może wcale nie tak oczywiste. A także daje możliwość estetycznego kształcenia, wyrabiania dobrego smaku i rozwijania dziecięcej wyobraźni.

Lidia Wójcik

TEATR LALKI I AKTORA im. H. Ch. Andersena w Lublinie. FAJTAŁEK I JEGO PRZYJACIELE Edwarda Uspieńskiego i Romana Kaczanowa. Reż.: Andrzej Jóźwicki, scen.: Andrzej Ejsmund, muz.: Janusz Batoc. Premiera 4 października 1985 r.

POWIEŚĆ Z „HYDE PARKU"

Nasza Isaura

AUTOR: MARIAN JASKIER

10

— Do barku? Z przyjemnością, ale tylko na moment, wiesz, jak jest. Jeszcze tylko tego trzeba aby memu staremu donieśli!

— Już i tak podpadłaś przez tę „Unię" — uśmiechnął się Morżał.

— Podpadłam? Ja tu jestem służbowo! — Iza Trędowicz powiedziała to z całą powagą. — Widzisz zresztą, że się oszczędzam. Tylko udaję, że piję. Mój szef ma zresztą węża w kieszeni.

Skręcali już do barku, gdy w drzwiach pojawił się dyrektor „Unii", Wiesław Moskaluk: jak zwykle, z nieodłączną fajeczką w ustach. Redaktor Morżał dobrze go znał od dawna, jeszcze z czasów, kiedy piastował funkcję przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Chełmie. „Łatwiej rządzić hotelem niż powiatem — mawiał. — Tam miałem szmat terenu, a tu tylko kilka pięter". Morżał przypomniał sobie, jak kiedyś był świadkiem rozmowy między Moskalukiem a redaktorem naczelnym „Karuzeli", Wojciechem Drygasem. Spotkali się w „Unii" przypadkowo i szybko dogadali między sobą: okazało się, że obaj walczyli we Francji w 1944 roku. „To myśmy was osłaniali" — mówił jeden z nich i wspomnieniom nie było końca.

Morżał uśmiechnął się do dyrektora, obaj wymienili ukłony.

W barku akurat zwolniły się dwa miejsca. Poprosił dla Izy o kieliszek „Napoleona", sam zadowolił się colą.

— Nawet dwudziestki piątki nie możesz chlapnąć? — zapytała.

— Nie chcę sobie robić apetytu. A poza tym nie mam zamiaru podpaść w razie kontroli. Dzisiaj milicja jest bardzo cięta i nikomu nie pobłaża.

— Masz przecież znajomości?

— Kochanie, nie te czasy! Znam zresztą siebie. Jak się zaszczepię, to już popłynę. Wolę więc nie zaczynać.

— Możesz przecież samochód zostawić na parkingu?

— Dziecko, przecież ja muszę jeszcze wpaść do drukarni, żeby tam czegoś nie poniepsrzyli!

— Na pewno świat się bez ciebie zawali! Dobry ten koniak. Co u ciebie? Jak zwykle chałturzysz?

— Nie chałturzę, tylko ciężko pracuję. To wcale nie jest łatwy kawałek chleba.

— Miałam jakiś temat dla ciebie. Wziąłbyś się solidnie za handel! Ludzie od nas jeżdżą po Polsce i twierdzą, że nigdzie nie ma takiej bryndzy jak w Lublinie.

— Przesada!

— Ale do naszego miasta ciągną całe pielgrzymki z terenu. Przejdź się przed południem po Lubartowskiej, ledwo się można przecisnąć. Nasi goście z zagranicy pytali, kiedy ci Polacy właściwie pracują, jeśli tylu ich szwenda się po ulicach?

— Lublin jest miastem studentów. Weź i to pod uwagę.

— A oni nie mają swoich zajęć? Ja tam solidnie studiowałam, chociaż niewiele mam z tego.

Morżał ugryzł się w język, bo — o ile sobie dobrze przypominał — to wydawało mu się, że Iza tych studiów jednak nie skończyła. Ale to nie miało żadnego znaczenia.

— No dobra — zmienił temat. — Jak żyjesz? Stary cię nie zdradza?

— A co, ja go pilnuję?

— Poszedł na prywatę? Pan inżynier wziął się za reperację samochodów. Ciebie to nie denerwuje?

— Niech to innych denerwuje. Najważniejsze, że wylazimy z długów.

Pogładził jej rękę.

— Świetnie wyglądasz! Nic się nie starzejesz!

— A nie chciałeś się ze mną ożenić. Wolałeś tę nauczycielkę. Dlaczego wy właściwie nie macie dzieci?

— Może coś będzie...

— Poważnie? To gratuluję. Nie bardzo wyobrażam sobie ciebie w roli ojca. Szkoda, że nie jesteś ze mną. Już ja bym się wzięła za ciebie!

— Myślisz, że pozwoliłbym ci na takie służbowe posiedzenia w „Unii"? Twój mąż to ideał. Nie robisz go w konia?

— Coś ty! Jestem bardzo przyzwoitą żoną.

— Ale moglibyśmy gdzieś po starej znajomości wyskoczyć. Na przykład do Warszawy.

— Powiedz, że po prostu chcesz się ze mną przespać. Ale ja tam nie lubię powrotów. Zresztą ciągle czuję się urażona. Właściwie to zrobiłeś mnie w konia. Ile ja przez ciebie nocy przepłakałam! Żeby tak moja poduszka potrafiła mówić!

— Szybko się pocieszyłaś! Trafił się inżynierek, raz, dwa się zakręciłaś.

— A ty uważasz, że powinnam pójść do klasztoru!

— I jesteś szczęśliwa?

— Ja ciebie o to nie pytam. Co to zresztą jest szczęście? Żyć jakoś trzeba. Muszę kończyć, bo zaczną mnie szukać! — Iza uniosła w górę kieliszek.

— No to jak będzie z tą Warszawą?

— A nie możesz zaproponować mi innej stolicy? Chociażby Budapesztu?

— A pojechałabyś? Są przecież wycieczki...

— I znaleźlibyśmy się na językach. Dziękuję. Ja tam nie będę ryzykować.

— To po co mówisz?

— Pożartować nie można?

— Słuchaj, a ta twoja siostrzyczka... Ona już chyba jest pełnoletnia? Podobna do ciebie?

— Jeszcze tego potrzeba, abyś zaczął się do niej dowalać! Nie dla psa kiełbasa! Ty jednak jesteś kawał łajdaka! Szkoda, że nie zapytasz jeszcze o moją córkę! Ale może i na to przyjdzie czas. Wszystkiego mogę się po tobie spodziewać.

Podniosła się z miejsca. Była najwyraźniej zła. Nawet nie usiłowała tego ukryć. Próbował ją udobruchać.

— Przecież ja też żartowałem! Cóż zresztą w tym dziwnego, że pytam o twoją siostrę? Znam ją prawie od kołyski. Czy musisz zaraz doszukiwać się podtekstów?

— Znam ciebie! Tobie jedno w głowie. Seksredaktor. Powinieneś pracować w „Veto". Twoje wspomnienia byłyby zapewne pasjonującą lekturą!

Morżał uregulował rachunek. Pożegnanie było nieco chłodniejsze niż powitanie.

(cdn.)

Azyl P. i sodowa woda

„PRAWDZIWA cnota krytyk się nie boi" — mawiał światły biskup warmiński, Ignacy Krasicki. Nieco inna zasada panuje w koteryjnym środowisku muzyków rockowych. Krytykowanie uznanych sław poczytywane jest w nim wprost za zniewagę, która każe dokładnie opluć śmiałka i bojkotować go na wszelkie możliwe sposoby. Mimo to odważę się napisać kilka uszczypliwych uwag pod adresem zespołu uznawanego do niedawna za sensację polskiego hard rocka. Zespół nazywa się nie wiedzieć czemu, Azyl P. i zdobył (dzięki drugiej nagrodzie w Ogólnopolskim Turnieju Młodych Talentów: „Kto najlepszy w tym rocku") spory rozgłos.

Młode talenty należy ochraniać i popierać. W myśl tej zasady rozpoczęły się tuż po turnieju wyścigi z lansowaniem nikomu dotąd nie znanej grupki z Szydłowca Świętokrzyskiego, i to od razu przez kilka możnych, a niezależnych od siebie instytucji. Najwięcej pomogło Azylowi P. radio (konkretniej: Trójka). Później firma Tonpress, honorująca go dwoma singlami i przemożna telewizja, która ze skromnych amatorów zrobiła gwiazdorów pierwszej wielkości. Chłopcy, jak przystało na niezbyt doświadczonych amatorów z prowincji, byli na tyle zagubieni i bezkrytyczni, że „kupili" umizgi, chcących zarobić na nich speców od rozrywki, za dobrą monetę. Pozwolili się więc omamić kilku „zaradnym" panom proponującym debiutantom atrakcyjne trasy koncertowe, promocję radiowo-TV-prasową, płyty, popularność i duże pieniądze. Czy można oprzeć się takim ofertom?

Muzycy zapomnieli przy okazji o podstawowym, poza czujnością na blichtr, obowiązku młodego wykonawcy, to znaczy podnoszeniu umiejętności i dalszym rozwijaniu ujawnionego nie tak dawno talentu. Postanowili za namową obrotnego managera „robić za idoli" rocka, jak długo to będzie możliwe, szpanując przy okazji bajeranckimi kostiumami i nihilistyczną postawą na scenie. Uznali widać, że lata spędzone w rodzinnym Szydłowcu były wystarczająco długą lekcją. Teraz nadeszła upragniona pora spijania miodów. No i zaczął się typowy młyn estradowy: koncerty, wywiady, nagrania, szampany, buzery, uściski podnieconych panienek i podkreślane na każdym kroku wyrazy sympatii dla tytanów z pierwszych stron barwnych tygodników młodzieżowych. Zachłystywano się świeżością brzmienia Azylu, jego rzekomo odkrywczymi nagraniami, prostymi, ale przecież rajcownymi solówkami gitar, tudzież zaskakującą barwą głosu solisty. Nie wytykano grupie, bo przecież nie wypadało, skromnych jeszcze umiejętności i skłonności do bazowania na kilku zaledwie akordach. Piosenki Azylu P. — „Dziki punk", „Twoje życie", „Chyba umieram" — były cieniutkie w formie i treści, w sumie banalne. Cóż z tego, skoro spragnieni sensacji prezenterzy Trójki potrafili wylansować dwa hity zespołu: „Och Lila" i „Mała Maggie". Częstotliwość nadawania ich na antenie była tak wielka, że młodzi fani uznali w końcu obie piosenki za sztandarowe pozycje nowego, niby nieskażonego wpływami z Zachodu rocka. Nie było to zgodne z prawdą, bo wpływów Mötley Crüe nie sposób było ukryć.

Andrzej Siewierski ze swą dynamiczną kompanią grał i śpiewał, jak potrafił, a życzliwi mu klakierzy bili brawa bez opamiętania. Milczeniem pomijało się fakt bardzo skromnych możliwości wokalnych leadera i jeszcze skromniejszej skali głosu. Był to temat tabu do momentu wydania debiutanckiego albumu. Koncertowe nagrania miały być wielkim sukcesem grupy Azyl P. Okazały się jego fatalną porażką. Ujawniły bowiem z całą ostrością nieporadność warsztatową instrumentalistów, ich kurczowe trzymanie się wypracowanych w czasie prób schematów oraz patetyczny banał przekazywanych treści. Koncertowy longplay, wbrew oczekiwaniom, jest jakby złośliwą, cóż kiedy stworzoną przez sam zespół, karykaturą znanych wcześniej z anteny radiowej szlagierów. Niestety, „Och Lila", „Mała Maggie", „Kara śmierci" i „Chyba umieram" brzmią denerwująco — płasko, bezbarwnie i wtórnie w stosunku do pierwowzorów. Nie wiedzieć, gdzie uleciał dawny blask idoli, gotowych rzucić na kolana kilkutysięczny tłum fanów. Azyl P., mówiąc krótko, skompromitował się, choć tak naprawdę uchylił tylko maskę, jaką posługiwał się przez blisko dwa lata.

Niewypał fonograficzny Klubu Płytowego „Razem" — sponsora owego wydawnictwa — winien być okazją do głębszej refleksji nad stanem posiadania polskiego rocka. Wielu młodych stażem wykonawców uważa, że efektowne opakowanie, poparte odpowiednio zaaranżowaną reklamą, zastąpi treść. Niestety, tak „dobrze" jeszcze nie jest. Zachwyty nad błyskotką trwają krótko i kiedyś opada kurtyna, za którą widnieje pustka. Okrzyczana gwiazda nieoczekiwanie gaśnie i odchodzi w niełasce mamionej do niedawna publiczności.

Azyl P., co prawda, nie złożył jeszcze broni. Być może, chłodny prysznic ostudzi nieco zapały rozgorączkowanych młodzieńców i zdopinguje ich do solidnej pracy nad sobą. W przeciwnym razie podzielą losy TSA i Republiki, dwóch, zdawałoby się, niewzruszonych sław, o których mówi się ostatnio coraz rzadziej, i to z przekąsem. Sodowa woda dobra jest tylko na upały.

Istvan Grabowski

Archiwum Mistrzów Anegdoty

Rousseau przedstawił Wolterowi swoją odę „Do potomności".

— Nie sądzę — rzekł na to autor „Henriady" — aby oda ta doszła pod wyszczególniony w tytule adres.

— O —

Autor słynnych monografii, Emil Ludwig, przystanął przed kioskiem z książkami i przyglądał się nowościom pamiętnikarskim: Büllowa, Kajzera, Trockiego...

Właściciel kiosku, który świetnie znał Ludwiga, pozdrowiwszy go, zwrócił się ze smutkiem:

— Tak, tak, proszę pana. Teraz to ci panowie już sami piszą książki.

— O —

Malarz francuski, David, który głosował za śmiercią Ludwika XVI, grał w jednej z paryskich restauracji w karty z pewną damą i srodze jej wyrzucał, że nie wyszła w króla.

— W króla? W króla? — odparła zdenerwowana dama. — Przecież wiadomo, co pan z królami robi!

Wyszperał: **Ryszard Dunin**

OGŁOSZENIA

Skradziono talony paliwowe taxi osob. nr 204 na nazwisko Sowa Roman o numerach N-100-8174, M-1010321, N-1010322.

29555/G

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 355-38.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-38.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 121, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 3032. 1988-10-20. 3-4.

Milczące trybuny „Motoru”

Wiesław Horabik

NA pytanie „Sportowca”, co najlepiej pamięta z Lublina, Marek Kostrzewa, obrońca Górnika Zabrze, powiedział, że milczącą widownię. „Nie zazdroszczę kolegom z Motoru gry przed taką publicznością” — dodał. Wychowany w Lublinie, nie chciany w Motorze i nie pieszczony w Avii, piłkarz ten może i miał powody do sarkazmu. Ale słabo reagująca, niema publiczność przy Alejach Zygmuntowskich — to, niestety, fakt. A Kostrzewa nie był jedynym, który to zauważył.

Klub Kibica — grupka kilkudziesięciu młodych ludzi w niebiesko-żółtych szalikach — nie jest w stanie porwać całej widowni. Z reguły entuzjazmu do dopingu wystarcza im zresztą na pierwsze dwadzieścia minut meczu. Potem kibice słabną i na stadionie zapada cisza. Przerywają ją tylko rzadkie okrzyki pojedynczych widzów, nawoływania piłkarzy i przenikliwy świst sędziowskiego gwizdka. Chóralne śpiewy, gromki doping, dźwięk trąbek i bębenków, cała ta oprawa piłkarskiego widowiska nie jest w Lublinie praktykowana. Jedyny reprezentant regionu w piłkarskiej elicie nie posiada kibiców. Czy na pewno?

Waldemar Wiater, były piłkarz Motoru, a obecnie asystent trenera Złomańczuka, tak to tłumaczy:

— Prawdziwi kibice Motoru to zaledwie garstka wśród tych osób, które oglądają nasze mecze. Poznaliśmy ich, grając w drugiej lidze, kiedy byli z nami ci najwierniejsi. Obecnie połowa z widzów przychodzi, aby zobaczyć przeciwnika. Jeśli jest nim renomowany zespół, z górnej części tabeli — stadion pełny. Frekwencja zmniejsza się wprost proporcjonalnie do klasy przeciwnika. Nasz kibic nie ma ani tradycji, ani dobrych wzorów do naśladowania. Po prostu nie lubi ligowej piłki. Nasz kibic to widz telewizyjny, oglądający piłkę od czasu do czasu, i to w najlepszym, eksportowym wydaniu. Stąd te okolicznościowe brawa. Trudno, żeby liga wciąż grała na takim poziomie. Żadna liga tak nie gra. Trzeba lubić ligową piłkę i kochać swoją drużynę taką, jaka jest. Wystarczy pojechać do Łodzi na Widzew, czy na mecze którejś ze śląskich drużyn, aby to zobaczyć.

Pierwsze tradycje piłki w dobrym wydaniu wykuwała na Lubelszczyźnie Unia-Lublinianka. Doping tej drużyny, kiedy walczyła o drugą ligę, był wspaniały. Długo będę pamiętał płonące pochodnie na Wieniawie i trenera Gierwatowskiego na ramionach tłumu. Gdzieś z boku, w cieniu piłkarzy z Wieniawy, krok po kroku torował sobie drogę na piłkarskie szczyty przyfabryczny klub FSC — Motor Lublin. Robił to tak skutecznie, że wylądował w ekstraklasie. Ale czy pociągnął za sobą cały ten entuzjazm i przywiązanie do firmy, jakie cechowały kibiców z Wieniawy? Czy nadal nie mają więcej potencjalnych kibiców wojskowi z Lublinianki? Czy pozorna sympatia do Motoru nie pozostaje zmuszona jego statusem pierwszoligowca? Gdy oba zespoły grały w drugiej lidze, większą widownię miała na pewno Lublinianka, dopóki nie poleciała w dół tabeli. To fakt wymowny. Nie jest Motor z pewnością klubem z ogromnym zapleczem sympatyków i niech nikogo nie zmylą napisy na murach: „Motor King”.

— To ci, z głównej trybuny — mówią chłopcy z Klubu Kibica. — Siedzą pod dachem i uważają się za lepszych. Nigdy nie podjęli z nami dopingu. Czasami tylko poklaszczą. Incydent z Łatką to była ich sprawa.

Rzadko zdarza się na naszych ligowych boiskach, aby schodzącego na zmianę piłkarza gospodarzy pożegnały gwizdy. Jeszcze rzadziej, aby pożegnał go grad wyzwisk i niewymyślnych epitetów. Nic więc dziwnego, że zdenerwowany Łatka odpowiedział widowni „gestem Kozakiewicza” i wdał się z nią w słowne utarczki. Dyskusja z pseudokibicami nie przynosi z pewnością piłkarzowi chwały. Ale wina za ten incydent leży niewątpliwie po obu stronach. To także znamienny przyczynek do naszej sprawy.

Sytuacja zaszła tak daleko, że piłkarze boją się grać na własnym stadionie. Wychodzą spięci i przestraszeni. Tylko strzelona bramka potrafi ich odblokować. Najlepszym przykładem niech będzie ligowy mecz z Mielcem. Albo casus Opolskiego, który w Lublinie broni niepewnie i bez wyczucia. Na wyjeździe drużyna zbiera pochwały za dobrą i odważną grę. Na własnym stadionie przegrywa zaś najprostsze, wydawałoby się, mecze. Po meczu z Zagłębiem, przegranym 0:3, przez trzy kolejne dni piłkarze walkowali żal do widowni za wulgarne okrzyki i brak wsparcia.

Ci z głównej trybuny, posiadacze karnetów i wolnych kart wstępu, mówią: „Narzekają na brak dopingu, a grają do kitu. Kiedy grają dobrze, nikt nie szczędzi braw. Tak było po meczu z Widzewem w poprzednim sezonie. Publiczność długo stała klaszcząc, a piłkarze już dawno byli w szatni. Jaka gra, taki doping. To podstawowa rzecz. Tak jest wszędzie”.

W rozumowaniu tym tkwi jednak błąd, bowiem to właśnie doping mobilizuje do dobrej gry. Potrafi porwać i wyzwolić dodatkową energię, a w trudnych momentach podtrzymuje na duchu i dodaje otuchy. Wystarczy posłuchać reprezentantów, którzy grali na śląskim gigancie. Tam „kocioł” trwa bez przerwy, choć nie zawsze wszystko idzie dobrze.

Działacze narzekają, że to brak tradycji wpływa na słabe przywiązanie do klubu. Ale przecież tradycję tworzy się wspólnie. Można ją kultywować i podkreślać, wydając broszury i znaczki, plakaty i nalepki, proporczyki i klubowe flagi. W końcu klub nie powstał wczoraj. To, co zrobiono dotąd, było do bani. Dotychczasowe wydawnictwa o klubie miały słaby papier, niewyraźne zdjęcia i do tego odznaczały się niedokładnością informacji. Odwalono coś tam z planu. Kłopoty Motoru to nie tylko widownia; to brak boisk terningowych i zaplecza, stadionu na miarę I ligi i sprawnej organizacji. Jak gdyby awans do elity, przerósł realne możliwości klubu. A może to bolączka całej polskiej piłki?

Jeden z kibiców powiedział mi: „Jak można przywiązać się do „wahadłowca”, który kursuje między ligami niczym pociąg PKP. Wchodzi, spada i znowu wchodzi. Gdzie są piłkarze, którzy tu się wychowali, tu wyrośli i tu osiągnęli mistrzowski poziom? Na początku była „gwardia zaciężna” i dalej jest tak samo. A ci dobrzy i sławni z Lublina? Są, ale w innych klubach, jak choćby Żmuda, czy Kostrzewa. Panie, kto tak prowadzi klub? Na pierwsze mecze w ekstraklasie przychodziły tłumy. Gdzie są tamte pieniądze? Szary stadion, szare trybuny, szara rzeczywistość. Gdzie te reklamy, jak na Widzewie? Gdzie to światło, jak choćby w Puławach? To Puławy stać, a Lublina nie?! Toż sami piłkarze Motoru chcieli się niedawno przenieść na stadion Lublinianki. To jest przywiązanie do klubu? Jeśli tylko trafi się okazja, wszyscy stąd uciekają. Panie, tu wszystko się marnuje. Może my, kibice, i nie dorośliśmy do pierwszej ligi, ale i oni, piłkarze, też na pewno nie. Przed każdym sezonem obiecanki - spokojnym miejscu w tabeli. A potem co? Nerwy i znowu szamotanina, żeby tylko nie polecieć. Taki jest Motor”.

Każdy, kto regularnie chodzi na ligowe mecze Motoru, wyczuwa atmosferę „przepychanki” między widownią i piłkarzami. Dostrzega konflikt, jakiego trudno doszukać się w historii polskiej piłki.

Sami zaś piłkarze tak ocenili zaistniałą sytuację:

WALDEMAR FIUTA: — Nasi kibice to nie kibice, lecz widzowie. Składa się na to na pewno wiele przyczyn. Nieznajomość aktualnej sytuacji w drużynie, dyspozycji fizycznej i psychicznej zawodników, kłopotów kadrowych itd. To wszystko ma wpływ na grę, a ta z kolei na kibicowanie. Po drugie, część naszej widowni to ludzie przyjezdni, wycieczki z Zamościa czy Chełma, w żaden sposób nie związane emocjonalnie z Motorem. Okrzyki i wulgarne wyzwiska zaś to kwestia ogólnej kultury widowni. Czasami wolelibyśmy, żeby ludzie w ogóle nie reagowali, jeśli mają reagować w ten sposób. Wielokrotnie gra nam się lepiej na wyjazdach. Nie przeczę, że to także kwestia odpowiedniej oprawy meczu, który jest w końcu barwnym widowiskiem. Z tym na naszym stadionie nie najlepiej.

MAREK SZANIAWSKI: — Pamiętam mecz, w którym kibice bardzo nam pomogli. To był mecz z Resovią, decydujący o awansie. Chcielibyśmy mieć jeszcze podobny doping. Na pewno są wśród kibiców i prawdziwi sympatycy Motoru. A że to kwestia tradycji — także fakt. Pamiętam, że niegdyś na trening Lublinianki przychodziło po pięć tysięcy kibiców.

DARIUSZ BARTOSZEWSKI: — Nie bez winy jest też lokalna prasa, która często zamieszcza zbyt surowe, a nawet krzywdzące komentarze. A tę prasę czytają już nie tysiące, a dziesiątki tysięcy ludzi i na jej podstawie urabiają sobie pogląd o drużynie. Przenoszą później te nastroje na stadion.

ROBERT GRZANKA: — Są na pewno również fanatycy Motoru. Ci zbierają wycinki prasowe i klubowe pamiątki. Sam znam kilku prawdziwych kibiców, którzy znają się na piłce i z pewnością potrafiliby stworzyć odpowiedni doping. Ale u nas niektórzy widzowie uciszają nawet Klub Kibica. Człowiek boi się zagrać bardziej finezyjnie, bo jeśli mu nie wyjdzie, zostanie wygwizdany. Nie bardzo wierzymy, że cokolwiek zmieni się kiedykolwiek pod tym względem.

Krzyżówka nr 23 z szyfrem

Poziomo: 8. pisarz niemiecki, autor m. in. „Wojny żydowskiej”, 9. np. Bikini, 10. gryzie, 11. retorsja, 13. leży nad nim Cleveland, 14. kamień ozdobny, 16. znany z bitwy księcia Józefa, 17. rozkopuje śmietniki sprzed tysiącleci, 20. kask, 21. przepływa przez Monachium, 23. magazyn, 26. port Jemenu Płd. 27. polski pisarz i tłumacz z początku XX wieku, 29. stary subiekt, 31. kolejno ułożone dźwięki, 34. dyskiem lub oszczepem, 35. miasto u progu Bieszczadów, 36. wieś pod Lublinem z pomnikiem lotników, 37. znany polski historyk literatury, autor „Pogranicza powieści”, 38. autorka „Cudzoziemki”.

Pionowo: 1. wybitny, współczesny kompozytor polski, 2. wiejski dom, 3. artysta — idol, 4. przodek z portretu, 5. prowadzi do zatonięcia statku, 6. skacze po łące, 7. przepływa przez Gorlice, 12. pustelnik, 15. strzelona bramka, 18. gorliwość, zapał, 19 autorka „Meira Ezofowicza”, 22. prezes ZLP, 24. uzupełnia krzemień 25. rodzaj pocisku artyleryjskiego, 28. niepotrzebny w wierszu, 30. otwiera zamek, 32. schronienie, 33. Mickiewicz.

SZYFR

B4, E7, H12, F14, N11, K14, I16, L16 / C16, F16, L13, J9 / B9, N12, A7, I15, K3 / I17, H4 B11 / B16 H14 A12, J7, N13 H5, G12, B7, D14 / D2, G7, A2, M11, L14, G16, D1 / N16, B6, D4, G14, E8 / L1, J6, N2 / N1, G3, M16, A14, C13 / D15, L17 / F7, O11 / B10 H7, E15, C14, L8.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21 Z SZYFREM

Poziomo: wątroba, sierota, Częstochowa, opad, ansa, ulga, agat, Udine, lir, paple, kosmopolityzm, kruża, pas, Tałty, Anna, fryz, wiek, okaz, militarysta, Strobel, aerobus.

Pionowo: weto, taca, astral, suchar, Oran, Azja, zdun, wata, podskarbi, sulamitka, Leśmian, apatyty, ikona, żaki, pastel, Sforza, azot, wers, emir, Karb, Zeus.

SZYFR

WSZYSTKIE TEORIE SĄ SZARE, ZAŚ DRZEWO ŻYCIA JEST WIECZNIE ZIELONE.

Goethe
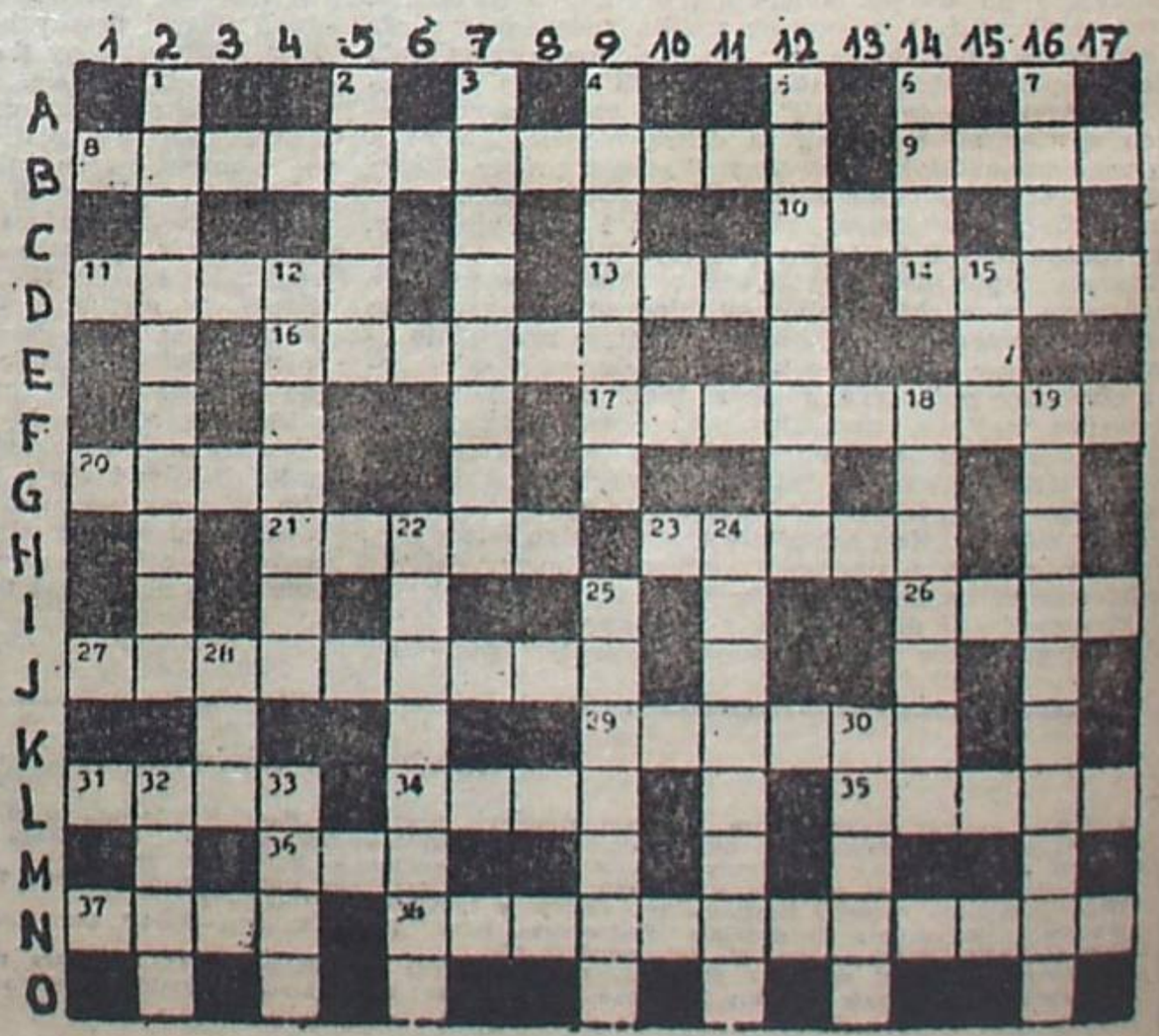
Nagrodę wylosował Jan Zych, Stara Kolonia Małogoszcz 5/3, 26-366 Małogoszcz.